

I. LITERATURA SERBSKA

Z PIEŚNI LUDOWYCH

ŚMIERĆ MATKI JUGOVIĆÓW

(Z «Lazaricy»)

Miły Boże! cuda, wielkie cuda!...  
 Zebrały się wojska na Kosowie,  
 A w tych wojskach dziewięć Jugovićów  
 I dziesiąty sam Jug-Bogdan stary.  
 Prosi Boga matka Jugovićów,  
 Żeby dal jej oczy sokołowe  
 I srebrzyste skrzydła łabędziowe;  
 Żeby mogła lecieć na Kosowo,  
 Widzieć synów, dziewięć Jugovićów,  
 I starego ojca Jug-Bogdana.  
 Co prosiła, to i uprosiła:  
 Dał jej Pan Bóg oczy sokołowe  
 I srebrzyste skrzydła łabędziowe.  
 Poleciała na Kosowo równe —  
 Naszła martwych dziewięć Jugovićów  
 I starego ojca Jug-Bogdana.  
 Dziewięć kopij tkwi wbitych nad nimi;  
 Na tych kopjach dziewięciu sokołów,  
 Około nich dziewięć dzielnych koni,  
 A w pośrodku dziewięć lwów straszliwych.  
 Naraz zarzy dziewięć dzielnych koni,  
 I lwów dziewięć zawyje straszliwych,  
 I zakwili dziewięciu sokołów...  
 Ale matka twarde serce miała,  
 Ani jednej łzy z ócz nie polała.  
 Bierze z sobą dziewięć dzielnych koni,  
 Bierze z sobą dziewięć lwów straszliwych  
 I sokołów dziewięć bierze z sobą —  
 Wraca z niemi do białego dworu.  
 Zdala matkę synowe ujrzały,  
 Naprzeciwko z dworu wybieżały:  
 Zabiadało rzewliwie wdów dziewięć,  
 Zapłakało dziewięć sierot drobnych, —  
 Dziewięć dzielnych zarżało rumaków,  
 Zaryczało dziewięć lwów straszliwych,  
 Zakwiliło dziewięciu sokołów...  
 I tu jeszcze matka serce miała,  
 Że ni jednej łzy z ócz nie polała.

Kiedy w nocy po północy było,  
 W stajni zarżał rumak po Damjanie.  
 Pyta matka wdowy Damjanowej:  
 «Córko moja, wdowo Damjanowa!  
 Cóżto, zarżał rumak Damjanowy?  
 Czy pszenicy nie ma białej w żłobie?  
 Czy pić pragnie wody Zweczanowej?»  
 Odpowie jej wdowa Damjanowa:  
 «Świekro moja, matko Damjanowa!  
 Nie brak w żłobie mu pszenicy białej,  
 Nie spragniony wody Zweczanowej;  
 Tylko Damjan tak go już przyuczyl,  
 Do północy w żłobie że jadł obrok,  
 Po północy wyjeżdżał z nim w drogę.  
 To on teraz rzy za panem swoim,  
 Żal mu, do dom że nie przyniósł pana!»  
 I tu jeszcze matka serce miała,  
 Że ni jednej łzy z ócz nie polała.  
 Jako z jutrem dzień zajaśniał biały,  
 Tu dwa kruki lecą ponad dworem.  
 Skrzydła całe we krwi ubroczone,  
 Dzioby mają pianą oschle białą,  
 Niosą w dziobach rękę odrąbaną  
 Ze złocistym na palcu pierścieniem.  
 Rzuca rękę matce Jugovićów —  
 Krwawa ręka na łono jej padnie.  
 Wzięła rękę Jugovićów matka,  
 Na wszystkie ją opatruje strony, —  
 Wreszcie woła wdowy Damjanowej:  
 «Pójdź, synowo, wdowo Damjanowa!  
 Czy nie poznasz, czyjaby to ręka?»  
 Odpowie jej wdowa Damjanowa:  
 «Świekro moja, Damjanowa matko!  
 To jest ręka naszego Damjana!  
 Oto pierścień złocisty na palcu,  
 Którym ze mną zaślubił się, matko!»  
 Weźmie matka rękę Damjanową,  
 Na wszystkie ją opatruje strony,

Do skrwawionej ręki zcicha szepce:  
 «Ręko moja! jabłuszko me krasne!  
 Gdzieś ty rosło — a gdzie cię zerwano!  
 Rosło u mnie, u matki na lonie —  
 Zerwano cię na równem Kosowie!...»

Od żalości pierś się matki wzdęła,  
 Pierś się wzdęła — i pękła od żalu —  
 Za dziewięcią synami młodymi  
 I dziesiątym starym Jug-Bogdanem.

*Tłum. Roman Zmorski.*

## DOSITEJ OBRADOVIĆ

(1742—1811)

### NA POWSTANIE SERBJI R. 1804

Powstań, powstań, Serbjo! Ach, powstań królowo,  
 Pozwól dzieciom swoim tve oglądać lice,  
 Zwróć ku sobie serbskie serca i źrenice  
 I daj im usłyszeć słodkie twoje słowo.

Powstań, powstań, Serbjo!  
 Długoś, długo spała  
 I we śnie leżała.  
 Niech ci dzień zaświeci,  
 Obudź swoje dzieci.

Twą królewską głowę podnieś wgórę śmiało,  
 By cię znów poznały i ziemia, i morze,  
 Europie ukaż swą twarz okazałą,  
 Jasną i wesołą jako ranne zorze.

Powstań, powstań, Serbjo!

Wspomnij, matko nasza, na twą dawną sławę,  
 Hańbę rzuć na twoich wrogów ręce krwawe,  
 Niech przed tobą teraz uchodzi za góry  
 Ciemiężyciel janczar dziki i ponury.

Powstań, powstań, Serbjo!

Snadź ci dziś pomoże święta niebios wola,  
 Już się pokazuje tobie lepsza dola,  
 Wszyscy bliżsi twoi cieszą się wokół,  
 I narodom dalszym w duszy też wesoło.

Powstań, powstań, Serbjo!

Powstań, powstań, Serbjo, matko nasza miła!  
 Stań się, stań się znowu, czemes pierwszej była,  
 Dzieci serbskie szczerze piją zdrowie twoje  
 I za ciebie idą odważnie na boje.

Powstań, powstań, Serbjo!  
 Długoś, długo spała  
 I we śnie leżała.  
 Niech ci dzień zaświeci,  
 Obudź swoje dzieci!

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## PETAR II PETROVIĆ NJEGOŠ

(1813—1851)

## Z «GÓRSKIEGO WIEŃCA»

(Na zwołanem przez siebie zgromadzeniu celem zbadania, czy jest możliwe wytepienie Czarnogórców-muzułmanów — w obecności zaproszonych na naradę naczelników poturczeńców — władyka Danilo wygłasza następujące przemówienie:)

Boże wielki, który wszystkim rządysz,  
 który siedzisz na tronie niebieskim  
 i wszechmocnem zapalasz spojrzaniem  
 wszystkie kręgi świetlane w przestrzeni;  
 któryś roział drobny pył szeroko  
 popod tronem Swym świętym przepyszny  
 i nazwałś to Swemi światami,  
 a w proch każdy — życia dech wetchnąłeś  
 i zasiałeś weń ziarno rozumu!  
 Ty, co dzierżysz księgę życia świata,  
 w której losy wszystkie są spisane,  
 losy światów i tworów rozumnych;  
 który także w łasce Swej raczyłeś  
 ruch i życie wlać w ciało jednako  
 małej mrówce, jak i lwu wielkiemu!  
 Chciej rozjaśnić niebo Czarnogóry,  
 odwróć od nas gromy i pioruny,  
 i złowrogie chmury, gradem ciężkiej!  
 Oni nie są wszak winni tak bardzo:  
 błędną wiarę przyjęli zamamieni,  
 w sieć zostali złowieni szatańską.  
 Czem jest człowiek? wszak wątlęciem stworzeniem.

*(Turcy patrzą na siebie ukradkiem.)*

I do starczych ust się miód przylepia,  
 cóż dopiero do młodych, gorących!  
 Miła słodycz, lecz haczyk w niej ostry:  
 «Wypij sorbet z naczynia proroka,  
 albo brzeszczot pogładzi ci szyję!»  
 Lęk o życie nieraz cześć pokala,  
 bo słabości wiążą nas do ziemi  
 węzłem marnym, lecz mocnym, zaiste.  
 Ale światło, co lśni z oczu lisom,  
 tylko małe omamia płaszyny,  
 zaś przed orłem lisy kryć się muszą.  
 Żal po śmierci brata albo syna  
 trzykroć miłość twą do niego wzmaga;  
 zawsze lepiej znaleźć, niżli zgubić:  
 wszak po burzy czystsze bywa niebo,  
 wszak po gniewie łagodniej na duszy,  
 wszak po płaczu weselej się śpiewa.  
 Obym widzieć mógł na własne oczy  
 powrót do nas zbłąkanych współbraci!  
 Wtedyby mi było tak na duszy,  
 jak przy serbskiej wznowieniu korony,  
 przy zstąpieniu Miłosa do Serbów.  
 Duch mój wtedy spokojemby jaśniał,  
 jako cichy poranek wiosenny,

kiedy wichry i złowróźbne chmury  
 drzemią sobie gdzieś w głębinie morskiej.  
 (*Turcy chmurnie spoglądają po sobie.*)

Skender-aga:

Na mą wiare! Zaprawdę się dziwię,  
 jak ty do nas przemawiasz, właduko!  
 Czy dwa trunki znajdziesz w jednej beczce?  
 Jedna czapka byważ na dwie głowy?  
 Mały potok, gdy łączy się z większym,  
 już u wtoku nazwę swoją traci,  
 w morzu zasię obydwą znikają.  
 Czyż chcesz pszczoły łowić do swej czapki,  
 by w niej sobie potem ul urządzić?  
 Miodu przecie nikt stamtąd nie zechce.  
 Próżno kamień chcieć na górę wtoczyć;  
 drzewo stare się łamie, lecz nie gnie!  
 I zwierzęta są takie, jak ludzie,  
 każdy rodzaj rządzi się swem prawem;  
 już nie mówię o orle ni gęsi,  
 lecz dlaczego lew ma bać się gęsi?

Knez Rogan:

Dziwię, dziwię się temu wszystkiemu!  
 Pop grzesznika pyta się o grzechy,  
 by go z sieci ratować szatańskiej —  
 alem nigdy nie widział szatana,  
 coby sam się przed popem spowiadał. — — —

Wojewoda Batrić:

Turcy, bracia, nie mam was zwać braćmi!  
 Poco dalej próżno to ukrywać?  
 Kraj nasz — mały i zewsząd otoczony,  
 z trudem jeden może w nim przebywać,  
 przepaść czarna otwarta dokoła —  
 rozdwojenia być wśród nas nie może!...

*Thum. Henryk Batowski.*

## BRANKO RADIČEVIĆ (1824—1853)

### GDYM BYŁ BLISKI ŚMIERCI

Liście żółtkły, niebo deszczem płacze,  
 Żółtkły liść już opada w jesieni.  
 Ach, już nigdy w przyrodzie zieleni  
 Nie obaczę.  
 Głowę chylę, brak mi w rękę siły,  
 Bóle z oczu blaski już wypily,  
 Lica barwą powlekły się ciemną,  
 I kolana słabe drżą pode mną.  
 Przyszedł czas mój, idę do mogiły.  
 Żegnaj, żegnaj, cudny śnie żywota,  
 Żegnaj, zorzo, dnia jasności złota,  
 Żegnaj świecie, mój stracony raj,  
 Do innego teraz idę kraju.  
 Gdyby nie te uczucia gorące,  
 Tobym jeszcze patrzył w jasne słońce,

Słuchał gromów, słyszał burzy ryki,  
 Śpiewające po gajach słowiki,  
 Twoje szepty, świecie, twoje głosy —  
 Ale życie już mi biorą losy.  
 Pieśni moje, wy biedne sieroty,  
 Dzieci miłe młodzieńczej pustoty,  
 Tęczę zerwać moje serce chciało,  
 By was odziać w szatę okazała,  
 By ozdobić w gwiazdy migocące,  
 A pozłotę-by mi dało słońce.  
 Gwiazdy błysły i błyszczeć przestały,  
 Słońce grzało, świeciło dzień cały,  
 Lecz i ono zaszło w światła końce.  
 Śmierć mi wszystko weźmie nielaskawie,  
 Więc wam chyba lachmany zostawię.

*Thum. Bronisław Grabowski.*

## DZIEWCZYNA U ZDROJU

Jakem poszła w wieczór wczora  
Z zdroju świeżej czerpać wody,  
Tu na bystrym dopadł koniu  
Chłopiec młody, bystrooki.  
Pozdrowiwszy, rzecze do mnie:  
«Daj się napić, dziewczę młode».

Te wyrazy — słodkie strzały —  
Nawskroś serce mi przeszyły.  
Poskoczyłam, postąpiłam —  
Białą dłonią dzban podaję —  
Wtem dzban wypadł z drżącej dłoni  
I rozprysł się w dwoje, w troje...

Dotąd leży roztrzaskany —  
Lecz, ach! kędyż jeździec młody?  
Byle raz go ujrzyć jeszcze,  
I drugi dzban zbiję rada!

Tłum. Roman Zmorski.

JOVAN JOVANOVIĆ ZMAJ  
(1833—1904)

## Z «RÓŻ ZWIĘDLYCH»

Śmierci, śmierci, czarna śmierci,  
Przyszłaś szczęście rwać człowiecze?  
Nie rozrywaj, ach, przez Boga,  
Węzłów naszych! — A śmierć rzecze:

— Rozerwałam już niejedną  
Węzeł moją ręką srogą;  
Wasze węzły są tak mocne,  
Iż rozerwać się nie mogą.

Lecz im tylko — boć to można —  
Inne imię dam z ochotą:  
Wprzódzy zwały się miłością,  
Zwać się będą dziś tęsknotą.

BILDUNG  
(Satyra)

Potomkowie dwaj Duszana  
Dziewiętnasty sławią wiek,  
Młodzi są przy fortepianie —  
Ona *nobel*, a on *keck*.

I *zum Abschied* młodzian jedną  
Odmiauczał *pastorelle*.  
— Z pana *Künstler*, *Herr von X. X.*!  
— Dzięki, dzięki, *mademoiselle!*

— *Zum Entzücken!* jeszcze, jeszcze!  
Jeden *Walzer*, *je vous prie!*  
— Proszę słuchać, jak jest *göttlich*  
Ten nowiutki *potpourri!*

Potomkowie dwaj Duszana  
Dziewiętnasty sławią wiek,  
Ducha czasu zrozumieli —  
Ona *nobel*, a on *keck*.

Wykałaczką takt wybija  
O łańcuszek, o *bijou*.  
(Łokciemby to lepiej było,  
Lecz cóż? łokcia niema tu.)

By nie płakać, śmiać się muszę,  
Gdy mi obraz taki wpadł:  
A toż nasza jest ulica,  
Toż to serbski Nowy Sad!

Tłum. Bronisław Grabowski.

LAZA KOSTIĆ  
(1841—1910)

## NA VUKA STEFANOVIĆA KARADŽIĆA

I znowu requiem: wiara, miłość, zgon.  
Głos naszych serbskich wil w tej ciężkiej dobie  
Na spokój wieczny śpiewa bez spoczynku.  
Requiem za Vuka; bo nam umarł Vuk.

Lecz cóż i kto to — jest dla nas ten zmarły?  
 Czy owo czoło tak blade, poważne,  
 Zmarszczone, co mu walecznego ducha  
 Zakrywa teraz bladością na wieki?  
 Za stołem nowej kultury Narodu  
 Skroń ta czołowe zajmowała miejsce;  
 Ta skroń wszelako — to jeszcze nie Vuk.  
 A może usta to są miodomówne,  
 Co płomienności przekazały tyle?  
 Te wargi właśnie zaznały całunku,  
 Który z czią nasze pokolenie młode  
 Dało tym wielkim z przeszłości zamierzczej;  
 Lecz i te wargi — to jeszcze nie Vuk.  
 A jest to może ony chód o kuli —  
 Tej drużki wiernej tak pracowitego  
 Jego żywota? Nam drzewem zielonem  
 Jest ten kij jego: jawor zeń się rodzi,  
 Co lutnię naszą pożywia pieśniami  
 Z czasów wiosnianych. Na tem piszą drzewie:  
 Kto się, choć chromy, nie potknął w swej dobie,  
 Za tym, kulejąc, wloką się stulecia.  
 Wieczne jest drzewo tej podpasznej laski;  
 Lecz i to drzewo — to jeszcze nie Vuk.  
 Bo inny, zgoła kto inny jest Vuk;  
 Lecz jakoż o tym, którego mam w myśli,  
 Mógłbym tu mówić! Toć przecie ten Vuk,  
 Wrzkomo umarły — żyje, a przenigdy  
 Za żywych requiem nie jest odprawiane.  
 Zaprawdę, żyje on! W piersi nam żyje,  
 Każde z słów naszych Vuk mówi wraz z nami,  
 A gdy śpiewamy, refrenem jest on.  
 Lecz gdyby jego duch opuścił ziemię,  
 Zanieslibyśmy gorące błaganie  
 Do pana zmarłych dusz dobrotliwego,  
 Oby, naszego tam przyjąwszy starca,  
 Zlał nań tę łaskę i z drzewa niebiańskich  
 Jaworów gęśl mu cudowną darował.  
 Gdy Bóg do błagań przychyli się naszych,  
 Niebawem w raju nie stanie jaworów:  
 Na gęśle zrąbie je aniołów rzesza,  
 I wnet się serbskim stanie cały raj!  
 Lecz że udziałem naszym jest niedola,  
 I tę nam — kto wie! — zabiorą ojczyznę.

*Tłum. Alfred Tom.*

## LAZA LAZAREWIĆ

(1851—1890)

### PO RAZ PIERWSZY Z OJCEM NA JUTRZNI

(Wyjątki)

Miałem wówczas zaledwie lat dziewięć, nie wszystko więc sobie przypominam, lecz opowiem to, com zapamiętał. Starsza moja siostra wie o tem również, brat jednak młodszy — nic zgoła. Nie głupim mu mówić! Dużo i matka mi opowiadała — później, kiedy, dorósłszy, rozpytywałem ją o to. Ojciec wszakże uparcie zawsze o tej sprawie milczał.

Ubierał się nasz ojciec z turecka. Stoi mi przed oczyma strój jego: «dżemadon» — rodzaj koszuli — z czerwonego jedwabiu, z kilku rzędami złotych sznurów; na nim obszyta skórą sukmana — «ciurcze» — z zielonego sukna: pas skórzany do broni — «siłaj» — wyszywany złotem; za siłaj zatknięty pistolet i nóż w srebrnej pochwie, o rękojeści z kości słoniowej; na siłaju długi pas jedwabny, zwany «trambolos», którego frendzle zwieszają się u lewego boku. Spodnie z jedwabnymi taśmami i szerokie kamasze, do połowy okrywające nogę w białej pończosze i płytkich trzewikach. Na głowie fez, nieco nabakier do lewego ucha, w rękę długi cybuch z bursztynem, pod pasem z prawej strony kapciuch, wyszyty złotem i szklanemi paciorkami. Strojniś prawdziwy.

Co do charakteru... jest to wprawdzie mój ojciec rodzony, lecz skorom raz już rozpoczął opowiadanie, nie mogę ukrywać: był to dziwny charakter. Gniew go nie opuszczał prawie. Umiał tylko rozkazywać, a gdybyś nie wypełnił jego rozkazu — biada ci!... Żądał, aby wszystko było tak, jak on chce — nie inaczej, i aby nikt w niczem nie ważył mu się sprzeciwiać. Kiedy się rozgniewa, to przeklina, że aż się wszystko trzęsie. Srożył się z powodu każdej najmniejszej drobnostki; zasępi się wówczas, gryzie dolną wargę, targa wąs prawy, marszczy brwi, z czarnych jego oczu iskry się sypią. Miałbym się zpyszna, gdybym wówczas przyszedł i powiedział mu, że lekcji nie umiałem! Zupełnie nie pojmuję, dlaczego się go tak lękał. Przypuśćmy, że uderzyłby mnie, no to i cóż? Ale się bał tych jego oczu: kiedy niemi błysnie, mimowoli drżysz, jak osika...

Pijał mało i tylko wino, na «rakję» — gorzałkę — zaś nawet spojrzeć nie mógł. Nawet kawę niebardzo lubił. Cóż tedy robił po nocach w kawiarni, spytacie? Ot, nieszczęście to było — i tyle. Gdyby pił, byłoby to jeszcze pół biedy. Ale zaraz dowiecie się. Skróciło to mej matce życie o połowę. Placze bywało tak biedaczka, że się zdaje: oto ma już umrzeć. I poskarżyć się nawet nie ma przed kim.

Pewnego dnia wrócił ojciec bardzo późno do domu. Nie! Nazajutrz to samo. Nikt ani mru-mru. Aż wtem spostrzega matka, że ojciec jest bez zegarka. Przestraszona pyta: «A gdzież, Dymitry, twój zegarek?» Nasepił się, spojrzął w stronę i powiada: «Posłałem do Belgradu do naprawy». — «Ależ szedł zupełnie dobrze, Dymitry!» — «Zdaje się, że nie jestem ani ślepy, ani głuchy, i wiem dobrze, czy zegarek idzie, czy nie». — Cóż miała począć matka? Zamilkła. Skarży się tylko potem przed moją siostrą: «O, ja nieszczęśliwa, przegra on wszystko, co mamy; przyjdzie na starość prac cudzą bielizną!»...

Zbliżyłem się na palcach ku drzwiom wielkiego pokoju i zajrzałem przez dziurkę od klucza. Patrzą. Stół stoi na środku pokoju, dokoła niego pozostawiane stołki, kilka z nich przewróconych. Na podłodze zrzucone zmięte karty, zdeptane cygara i stłuczona filiżanka. Z pod jednej karty wygląda dukat. Obrus ściągnięty ze stołu z jednej strony prawie do połowy, na nim porozrzucane karty, poprzewracane filiżanki, pełno popiołu z fajek i kilka próżnych spodków. Stoją jeszcze cztery lichtarze. W jednym z nich dopala się rurka grubego papieru, a czarny dym podnosi się aż pod belkę pułapu.

Na jednym ze stołków plecami zwrócony ku drzwiom siedzi mój ojciec. Obie ręce wyciągnął na stół, oparł na nich czoło i nie rusza się. Patrzałem dość długo, a on ani drgnął. Widziałem tylko, jak ciężko oddychał. Dziwne myśli przelatowały mi przez głowę. Nie wiem, skąd i dlaczego wydało mi się naraz, że ojciec jest nieżywy, tylko się zastanawiałem nad tem, czy umarły może oddychać. Potem uroiło mi się, że ręce ojca są papierowe i że nie będzie już mógł niemi uderzać. Słowem, plotły mi się jakieś głupstwa. Bóg wie, jak długobym jeszcze stał przy drzwiach, gdybym znowu nie poczuł na sobie ręki matczynej. Nic mi nie powiedziała, tylko wskazała na drzwi swemi łagodnymi oczyma. Sam nie rozumiem, pociąłem czapkę, pocałowałem matkę w rękę i wybiegłem na podwórze. — Była to sobota. Na ulicy, kiedym wyszedł, wszystko się działo, jak zawsze. Każdy zajmował się swoim. Wieśniacy przywozili na na targ zboże, drób i warzywo. Handlarze zaglądali do wózków i macali jagnięta. Pandur Nowak krzyczał i wyznaczał miejsca, gdzie kto ma stanąć z wozem. Dzieciaki kradły trześnie lub wspinały się na płoty. Pisarz Sretan chodził po mieście z doboszem i czytał, że się zabrania puszczać świnię na ulicę. Tryfko wydobyl z pieca jagnię pieczone i wykrzykiwał: «Chodźcie, gorące!», a pijanica Joza babrał się w kaluży.

...Kiedym powrócił, zastałem wszystko, jak przedtem: matka i siostra siedziały z załamanymi rękami. Nikt nie myślał o obiedzie. Dziokica na podwórku przywiązał kotce do ogona mały ronderek i śmiał się serdecznie z jej uciesznych skoków. Czeladnicy szyli w swej izbie, a sługa Stojan chrapał na sianie, jak o północy. — Ojciec wciąż jeszcze siedział na tem samym miejscu, jak skamieniały. Ciurcze pomarszczyło mu się pod pachami i rozpięło na piersiach od głębokich westchnień. Dawno już i na nieszpory przedzwoniono — a on się nie rusza. Dzień się kończy, a w duszy naszej coraz to ciemniej, nieznośniej, straszniej, rozpaczliwiej. Usiadłem na progu domu, trzymając w rękę jakąś szkolną książkę, alem jej nie czytał. W oknie widziałem bladą twarz matki, wspartą na wychudłej ręce. Dzwoniło mi w uszach. Nie mogłem o niczem myśleć.

Wtem skrzypnęły drzwi. Matka znikła z okna. Drgnąłem. Drzwi dużego pokoju otwały się i na progu stanął on — mój ojciec. Fez, zsunięty na tył głowy, odsłaniał włosy, spadające mu na wyniosłe czoło. Wąsy obwisły, twarz ściemniała i postarzała. Ale oczy, jakie to były oczy! Ani podobieństwa do tych, które tak świeciły przedtem. Zapadłe w głąb głowy, napół ukryte pod powiekami, poruszają się powoli, bez blasku, bez myśli, bez wyrazu. Błąkał mu się po twarzy jakiś posępny a łagodny uśmiech; nigdy tego przedtem nie bywało. Tak wyglądał stryj, kiedy przyjmował komunię przed śmiercią. — Odemknął drzwi naszej izby, wsunął głowę i, nic nie powiedziawszy, natychmiast ją cofnął. Zamknął drzwi za sobą, wyszedł na ulicę i powoli skierował się ku domowi kmotra Ilji. — Opowiadał mi później Tomasz, syn Ilji, że ojciec mój z ojcem jego zamknęli się w jednym pokoju i długo o czemś pocichu rozmawiali; przyniesiono im potem papier i atrament, coś pisali, przybijali pieczęcie itd. Ale co to było, tego nikt nie wie i pewnie nigdy się nie dowie.

Okolo wpół do dziesiątej byliśmy wszyscy w łózkach, oprócz matki, która siedziała z rękami na kolanach i pustym jakimś wzrokiem patrzyła w płomień świecy. Naraz skrzypnęły wrota. Matka czem prędzej zagasiła świecę i rzuciła się na łóżko. Serce mi biło, jakgdyby kto tłukł mi młotem w piersi. Drzwi się odemknęły i wszedł ojciec. Przeszedł się parę razy po pokoju i, nie zapalając światła, rozebrał się i położył. Długo potem słyszałem, jak niespokojnie przewracał się z boku na bok — aż wkońcu sam zasnąłem. Czy długo spałem — nie umiem powiedzieć...

...Wypadłszy na podwórze — chyłkiem, poza płotem, pod wiśniami, dopelzłem do studni i przykucnąłem za nią. — Noc była prześliczna. Niebo jasne, księżyc jak brylantowy, powietrze świeże, dokoła cisza... Spostrzegłem ojca, jak zajrzał przez okno do izby czeladniej i poszedł zaraz dalej. Stał pod dachem śpichlerza. Wydobyl pistolet.

W teźże jednak chwili matka nasza była już przy nim. Ojciec wlepił w nią wzrok, a na jego twarzy malowało się przerażenie. «Dymitry, panie mój, cóżes to zamyslił uczynić?» — Ojciec drgnął, spogląda na nią błędnym wzrokiem i rzecze: «Idź, Maryce, zostaw mnie! Jestem zgubiony!» Głos jego brzmiał jak dzwon rozbity. — «Jakto, jesteś zgubiony? Bóg z tobą! Jakże coś podobnego mówić możesz?» — «Wszystko przegrałem!» — rzecze ojciec, załamując ręce. — «Cudzegoś nie przegrał. Twoje to było». — Ojciec cofnął się o krok jeden i znowu wpatrzył się w matkę. «Ależ wszystko przegrałem — wszystko!... rozumiesz?» — krzyknął. — «I cóż stąd?» — zapytała spokojnie matka. — «Konia nawet!» — «Ei, zdechłak był!» — powiada matka. — «I łakę!...» — «Moczary — trzech złotych niktby za nie nie dał». — Zbliżył się znowu ku matce i wpił w nią oczy, jakgdyby chciał przeszyć ją nawskroś. «I dom...» — szepnął. — «Cóż to znaczy, skoro ty żyjesz i zdrow jesteś?» — odparła matka. — «Maryce! co ty mówisz?» — «Prawdę mówię, Dymitry. Oby tylko Bóg ciebie i dzieci zachował przy zdrowiu! Ani dom nas przecie nie karcił, ani łaka, lecz ty... Nie zaznamy biedy, dopóki ty z nami...» — «Maryce», począł, «czyżbyś...» Lecz nie dokończył i oczy rękawem zakrył. — «Uważ, Dymitry», mówiła dalej matka, «kiedyśmy się pobrali, nie mieliśmy nic, oprócz odzieży i kilku naczyń. Dziś, dzięki Bogu, mamy dom niemały».

Widziałem, jak z pod rękawa ojca stoczyło się lez kilka, które błysnęły w promieniach księżycy. «Zapomniałeś pewno», ciągnęła matka, «że mamy na strychu cały zapas dębianki.» — «To prawda», mówi ojciec głosem miękkim, jak jedwab, «pefen strych». Otarł rękawem oczy i spuścił rękę. — «A ten mój łańcuch dukatów, naco



mi on? Poco mamy marnować pieniądze? Puśćmy je w obrót... Alboż to my już tacy starzy? Zdrowiśmy, dzięki Bogu, i dziatwa nasza również zdrowa. Pracować będziemy». — «Jak ludzie uczciwi...» — «Jabym nie oddała tych dwojga rąk twoich za cały kapitał Paranosa<sup>1</sup>». — «Dorobimy się znowu własnego domu!» — «Dzieci wychowamy na uczciwych ludzi», mówi matka. — «Nie będą mi zlorzeczyć po mojej śmierci... Ach, jakżem długo ich nie widział!» — «Chodź, zobacz je!» — i matka wzięła go za rękę, jak małą dziecinę.

W trzy susy byłem już w domu. Ledwie miał czas szepnąć siostrze: «Kładź się do łóżka» i naciągnąć koldrę na głowę, gdy stanęli oboje na progu. Właśnie w tej samej chwili w cerkwi uderzono w dzwony na jutrznię. I donośnie rozległ się ich głos świąteczny wśród cichego poranku, wstrząsając duszą chrześcijańską. Jak wiatr odnosi suche gałęzie i liście, tak dźwięki te uroczyste odpędziły daleko nasz ból i smutek...

«Synu, wstań, pójdziemy do cerkwi!...»

*Tłum. Leon Wasilewski.*

## VOJISLAV ILIĆ

(1862—1894)

### OSTATNI GOŚĆ

Północ już dawno minęła i w karczmie niema nikogo, oprócz starego karczmarza, co, u komina zgarbiony, przerzuca księgę ogromną.

Martwota błądzi nad drogą,  
i deszcz mży drobny, i ciemność rozwłóczy czarne zasłony.

Wtem słyhać postuk ze dworu...

Do karczmy dziwny gość wchodzi:  
groźba się czai w uśmiechu, zapadłe usta oplata.  
Próżne są oczu szczeliny — pustka się zimna w nich rodzi —  
W piszczelu dzierży gość kosę.

To weszła śmierć lodowata.

Karczmarz, spokojnie drzemiący, z trzymanej księgi nie czyta,  
a śmierć ku niemu się zbliża — pocichu, zwolna, uparcie...  
Stanęła...

Pióro leżące z prostego stołu w dłoń chwytą  
i martwą ręką wpisuje swe własne imię na karcie.

Potem odchodzi w kąć izby.

Z półmroku widać, jak szczyrzy  
w straszliwym skurczu klów szczątek...

Wiatr chwytem zwilgłej swej ręki  
to mętne szyby zatarga, to w chwiejne wrota uderzy...  
Świst jego w karczmie, wśród pustki, ponure, straszne ma dźwięki...

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

## ALEKSA ŠANTIĆ

(1868—1924)

### BOKA

Boko, wód Jadranu ty oblubienico!  
Jedwab się błękitny nieb nad tobą chyli.  
Tyś piękniejsza stokroć od twej morskiej wili  
i nad jej bisiory masz jaśniejsze lico!

<sup>1</sup> Głośny bogacz belgradzki.

O ty, coś wieczyście mi nienapatrzona!  
 Jedno mam pragnienie: by się zmienić w fale  
 twoich mórz lazuru, ku twym brzegom stale  
 w szumie wiernej pieśni przeżyć swe ramiona  
 i spoglądać z tobą na twój Lowcezen siny!...

Aż gdy Pan się pewnej zjawi nam godziny,  
 gdy orłowie nasi w górne pomkną loty  
 i na rękach twoich twarde prysną pęta —

z wyżyn twoich słuchać, jak pieśń zabrmi święta  
 i wraz z tobą słać dzień wolności złoty!

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

#### JA CIĘ KOCHAM...

Ja cię kocham, święte słońce!  
 Królu nieba wiecznej mocy,  
 Ty promieniem spędzasz chmury  
 I ponurość gluchoj nocy.

Ja cię kocham, cudna zorzo,  
 Ty zwiastunko dnia białego!  
 Ty mię zawsze swoim czarem  
 W rozkosz rzucasz snu słodkiego.

Ja cię kocham, orle szary!  
 W twoim górnym, szczytnym locie  
 Lekceważysz mdłe robaki,  
 Pełzające wiecznie w błocie.

Ja cię kocham, kraśna goro —  
 Moja duszo upragniona,  
 Tyś wszak serbskich męczenników  
 I zbawienie, i ochrona.

Ja cię kocham, mój słowiku,  
 W wonnych krzakach domku twego,  
 Bo ty słodką pieśnią swoją  
 Koisz smutek serca mego.

Ja was kocham, cudne kwiaty,  
 Pełne czaru i rozkoszy,  
 Ja was kocham! — kto nie kocha,  
 Nie ma serca ani duszy.

*Tłum. Stanisław K. Papierkowski.*

#### JOVAN DUČIĆ

(ur. 1874)

DALMACJA

(ze Splitu)

W tej kapliczce małej, na jej starym szczycie  
 sennie dzwon podźwięka.

Cisza dookoła.

Leży krew zachodu na wód aksamicie,  
 pośród mgieł ostyga i tężeje zwolna.

Tylko się albatros wzbija ponad fale,  
 ptak, z niewiadomego zabłąkany morza —  
 i dopóki dymią gór oliwnych dale,  
 i dopóki niebo krwią płomieni zorza,  
 dumnym nad wodami krąży wgórze lotem,  
 rozpostarłszy skrzydła...

Niebo porfirowe  
 kryje się w purpury jedwab, lity złotem;

zda się, że duch władczy wstał Dioklecjana  
 i nad dalmatyńskim morzem wznosi głowę  
 w jasny cesarowy wieczór — głowę pana.

## WINO DUBROWNICKIE

Morze nieruchome, gładkie, bez powiewu,  
leży pod ogrodem.

Tylko zwierciadlana  
strzela wzwyż fontanna. Z laurowego krzewu  
patrzy marmurowe chytre lice Pana.

Zmilkły wabne tony. Towarzystwo całe  
zeszło do ogrodu i w alejach ginie.  
Na obliczach — błogość, a spojrzenia — śmiałe  
po obiedzie dobrym oraz psotnem winie.

Potem się bawiono — i tak się zrobiło,  
że się pomieszały najdziwaczniej role:  
bo kapitan psalmy intonował z siłą,  
a dominikanin trącał dźwięczną wiole.

Starsza pani Anna de Doce, już siwa,  
najsurowszych zasad, wielkich cnót matrona,  
pośród dam gromadki oczu nie zakrywa,  
prawiąc przypowiastkę im z «Dekameron».

\_\_\_\_\_ *Tłum. Antoni Bogusławski.*

## II. LITERATURA CHORWACKA

## NIKOLA NALJEŠKOVIĆ

(zm. 1587)

## Z «PIEŚNI MASKARADOWYCH»

Cóż za przepych niesłychany!  
Czyż was płoszą marne żarty?  
Jedni zowią nas — szatany,  
Inni — djabli albo czarty.

Gorsze jednak imię mamy,  
Niż naturę prawą swoją;  
Nie straszymy nawet damy,  
Niech więc męże się nie boją.

Czegóż znowu się śmiejecie?  
Wiedźcie o tem, młodzi, starzy,  
Że przy każdym na tym świecie  
Z nas choć jeden jest na straży.

Niech się, proszę, nikt nie dziwi,  
Patrząc na mnie tak nagiego;  
Czyż są ludzie tak cnotliwi,  
Ze szatani ich nie strzegą?

Czyż nie skłamią usta czyje,  
Mówiąc, o nas że nie stoją?  
Chociaż każdy z tem się kryje,  
Każdy ma pokusę swoją.

Choć nie przyzna się, niestety,  
Djabła każdy ma na ziemi;  
Po sto mają ich kobiety,  
Lubo się nie chępią niemi...

\_\_\_\_\_ *Tłum. Bronisław Grabowski.*

## DINKO ZLATARIĆ

(1558 — ok. 1609)

## Z «PIEŚNI LIRYCZNYCH»

Choć troskliwie ludziom taję  
To, że serce moje boli,  
Ale darmo — mimowoli  
Sam przed światem się wydaję.

Twarz ma blada okazuje  
Zranionego serca męki,  
Jakie, patrząc na tve wdzięki,  
W głębiach mojej piersi czuję.

Mnie całego po wsze chwile  
 Nęca wdzięki twe kwitnące;  
 Jak nad wszystkie gwiazdy słońce,  
 Tak ty jesteś nad wsze wile.

Ciągłym żarem dusza tleje;  
 Myśląc tylko wciąż o tobie,  
 Zapomniałem sam o sobie,  
 Że w płomieniach wciąż goręję.

Żywot mój — to ciągle żale  
 W niepokoju i żalobie;  
 Ot, com zyskał, służąc tobie  
 Wciąż tak wiernie i wytrwale.

Każdy wie to i mnie wini,  
 Choć im kryję ból miłości;  
 Ty go nie znasz, spokojności  
 Mojej sroga zabójczyni.

Ty go nie chcesz znać, ty jedna,  
 Choć ci jednej wszystko głoszę;  
 Spójrz łaskawie, o to proszę,  
 Niech odetchnie dusza biedna.

Niema tyle gwiazd na niebie,  
 Fal na morzu, kwiatów w trawie,  
 Ile ran, gdy niełaskawie  
 Spojrzysz; jednak Kocham Ciebie.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### DJIVO GUNDULIĆ

(1588—1638)

Z «OSMANA»

Czemu, marnej pychy szale,  
 Wgórę wznosisz lot swój chyży?  
 Im się wyżej pniesz zuchwale,  
 Tem-ci potem spadasz niżej.

Wiekuiściej, niespożytej  
 Niema rzeczy nam widomej,  
 A w wysokie górskie szczyty  
 Najpierw z niebios biją gromy.

Bez pomocy z nieba bożej  
 Świata wszelki byt nietrwały;  
 Przyrodzony bieg rozłoży  
 Państwa, pełne mocy, chwały.

Szczęście wciąż się kręci w kole,  
 Zaszczył miesza się z ohydą;  
 Kto był wgórze, będzie wdole,  
 Ci, co wdole, wgórę idą.

To ulega miecz koronie,  
 Nad koroną miecz znów włada,  
 Z niewolnika król na tronie,  
 A monarcha z tronu spada.

Szczęście może podnieść z ziemi,  
 Berło ujmiesz z krwawej toni;  
 Choć drżą tłumy przed mocnemi,  
 Lecz się tłumów boją oni.

Od zasadzki i od zdrady  
 Władcy głowa osłonięta,  
 Lecz bywają też przykłady,  
 Jakich ludzkość nie pamięta.

O, dziewice, cne mieszkanki  
 Góry wielkiej, słynnej w świecie,  
 Co natchnienie, wy niebianki,  
 Wszystkim piewcom podajecie!

Podszepnijcie mi śpiew głośny,  
 Jak zgon wschodni władca zmlódu  
 Poniósł z ręki niełitosnej  
 Wpółród swego Carogrodu...

Władysławie, ty sławnego  
 Króla Polski sławne dziecię,  
 Czemu mnogie głosy biega  
 Twojej chwały po wszem świecie?

Na me śpiewy zwróć łaskawie  
 Jasne oko majestatu,  
 Bo w nich dzieła twe wystawię  
 Dla podziwu wszemu światu.

Królewiczu słynny, mężny,  
 Gdy śmierć Osman poniósł łzawą,  
 Twoich zwycięstw głos potężny  
 Po wszech krajach przebiegł żwawo.

Trąba moja głosić ją  
 Na świat sprawy twoje znane, —  
 Coraz większe spełniaj dzieła,  
 Ja ich śpiewać nie przestanę.

We wspomnienia strasznej męce  
 Osman bóle czuje srogie,  
 Że mu zbiły polskie ręce  
 Niezliczone wojska mnogie.

I po ziemi że się wznosi  
 Z tego czynu wielka sława,  
 Co zwycięzcą jego głosi  
 Królewicza Władysława.

Czy wędrowiec łądem jedzie,  
 Czy też żeglarz morzem pływa,  
 O sultańskiej prawiac biedzie,  
 Władysława imię wzywa.

I przy uczcie druhów milej,  
 Lub pasterze, pasąc stada,  
 Burzyciela Turków siły  
 Każdy chwałę opowiada.

Skrzydłem wiatrów wieści biega,  
 Głosząc wielkość jego duszy,  
 Jak sultana potężnego  
 Włócznie łamie, miecze kruszy...

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

Niby jodła, Krunoslawa  
 Tak wysmukłą postać miała,  
 Zbroja wdzięku jej dodawa,  
 A koń pod nią — bystra strzała.

Na nim zbroja wyzłocona  
 Cała lśni się w blasku słońca,  
 Na łbie świeci umieszczona  
 Srebrna gwiazda palająca.

A na tarczy feniks biały  
 Patrzy w słońce okiem śmiałym,  
 Niżej słowa zajaśniały:  
 «Znów z popiołów zmartwychwstałem».

Sokolica patrzy wkoło:  
 Harda, dumna to niewiasta,  
 Hardo wgórze wznosi czoło,  
 Wszystkich wzrostem swym przerasta.

I koń pod nią, niby sokół,  
 Rączy, chyży, sierć ma białą,  
 Iskry z oczu sypie wokół  
 I poważnie stąpa, śmiało.

Obok młody sultan stoi,  
 Na kochankę patrzy z trwogą,  
 Blednie w strachu, bo się boi,  
 Że ją losy zdradzić mogą.

Rzecz: «Wątpię, moja miła,  
 Czy zwyciężysz sama w boju;  
 Gdy cię walka rozpalila,  
 Schnie me serce z niepokoju.

«Kto zwycięży, piękna, ciebie,  
 I mnie wtrąci do otchłani;  
 Ty, przy której snię o niebie,  
 Ty, mojego serca panil»

A królewicz z drugiej strony,  
 Bohaterskiej pełny sławy,  
 Stoi, bada zachwycony  
 Wszystkie ruchy Krunoslawy.

Wierzy w dzielność jej ramienia:  
 Miłość siły musi rodzić,  
 A dziewica chce z więzienia  
 Oblubienica oswobodzić.

Obie mężne, obie harde,  
 W bój się rzucić już gotowe,  
 Aby skruszyć włócznie twarde,  
 Aby zyskać laury nowe.

W polu równym i szerokim  
 Występują obie zbrojnie,  
 A tam wgórze jasnym okiem  
 Słońce patrzy się spokojnie.

Jak dwa wichry, oba konie  
 Wnet się zwarły przeciw sobie;  
 Nie zawiodły dzielne dłonie:  
 Pękły włócznie razem obie.

Lecz natomiast szable błysły,  
 A dłoń wprawna niemi włada;  
 Każda krąg zakreśla ścisły,  
 Potem nagle szybko spada.

I tak silnie w stal uderza,  
 Kierowana siłą ręki,  
 Że i z tarczy, i z pancerza  
 Wydobywa iskier pęki.

Zwinne konie, zaprawione  
 W częstych bojach, strzały lotem  
 W tę, to ową biegną stronę,  
 Zdumiewają zręcznym zwrotem.

Przeciwniczki równej siły,  
 Równa dzielność ich ramienia,  
 Obie dzielnie cios odbiły,  
 Obie miłość przepłomięnia.

Mężnie walczą dwie dziewice,  
 Żadna ciosów się nie boi;  
 Twarde tarcze i przyłbice;  
 Niema jeszcze krwi na zbroi.

Obom gniew dodaje wdzięku,  
 Co się skrycie w piersiach tłumi,  
 I jak las wśród wichrów jęku,  
 Tak on glucho wre i szumi.

A wtem naraz, jak z rozkazu,  
 Na strzemionach stają obie  
 I, chcąc skończyć bój odrazu,  
 Wznoszą szable przeciw sobie.

Padły ciosy: pod żelazem  
 Pękły helmy, a wraz z niemi  
 Dwie przyłbice spadły razem  
 Z misiurkami błyszczącemi.

Piękne oczy zajaśniały,  
 Posągowych kształtów lice,  
 I ujrzano pełne chwały  
 Bohaterki dwie, dziewice;

Jako słońce w dzień ponury,  
 Kiedy złoty krąg ukaże,  
 Wydobyły nagle z chmury,  
 Tak zabłyśły dziewic twarze.

Kto w nie patrzy bez westchnięnia,  
 Tego nic już nie poruszy,  
 Żadna skra nie rozplomienia  
 Takich serc i takiej duszy.

Na ten widok niespodziany  
 Wojska ogniem zapalały,  
 I na rozkaz szybko dany  
 Z obu stron świsnęły strzały.

I zawiązał się bój srogi.  
 Kiedy pierwsze padły ciosy,  
 Każdy śpieszy, pełny trwogi,  
 Drżąc o dziewic obu losy.

Na bachmatach strzały lotem  
 Przeciw sobie wojska lecą,  
 Szybko pada grot za grotem,  
 Lasy włócznie w słońcu świecą.

Oreż szczeka, kule świszczą,  
 Konie rżą, a ryczą działa,  
 Podniesione szable błyszczą,  
 Ogień walki wszędzie pała.

Bój się wzmaga; krew gorąca  
Strumieniami wszędzie ciecie,  
Wszędzie błyszczą w blaskach słońca  
Włócznie, tarcze, szable, miecze.  
I rozlega się ponury  
Odgłos walki naokoło;

Ale słońce już za góry  
Kryje swoją twarz wesołą.  
Bój przerwany; noc się ścięła;  
Oba wojska już w taborze;  
Bohaterki na ich czele  
Świecą męstwem, jak dwie zorze.

*Tłum. Jan Nitowski.*

## FRANJO KRSTO FRANKOPAN

(zm. 1871)

### TOAST

By rozjaśnić myśli wasze,  
Nalewajcie wina czasie,  
Niech się serce rozpogodzi,  
Dobra wola k'nam przychodzi,  
Niech owocu pilnej pracy  
Używają dziś próżniacy.

Silna ręka kopje ciska,  
Dobra wola serce zyska;  
Dalej, bracia, hej, wesoło,  
Puhar niechaj krąży wkoło!  
My się obaj wam kłaniamy  
I toastem pozdrawiamy.

Bóg dał zdrowie wam, rycerze,  
Niech wam szczęście sprzyja szczerze  
I przy uczie w pańskim stanie,  
Na junackim też majdanie.  
Złych niech ręka Boża karze,  
Dobrym daje sławę w darze.

Gdy się w oczy afekt święci,  
I za oczy miej w pamięci,  
Za plecami kto obmawia,  
Tego niechaj czart zniesławia.  
Gardła niech są w pogotowiu,  
Aby starczyć wszystkim zdrowiu.

Jeden toast niech za drugim  
Idą ciągle rzędem długim,  
I wspomnienie niech nie ginie  
O chrześcijańskiej wszej krainie,  
Bóg niech krzepi ją, niech strzeże,  
Poganina niech czart bierze.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## STANKO VRAZ

(1810—1851)

### SPOWIEDŹ

Gdy duch rozkuje cielesne okowy,  
Gdy rydel głucho dźwięknie nad mą trumną,  
Świat nie pożegna mnie czułem słowa  
Ani dział rykiem, ani mową szumną,  
Bo gałąź lauru nie wieńczy mej głowy.

Świeciel twe dary zwodnicze, choć zdala  
Powabne; piolun i jad — twe owoce,  
Cierń — sławy wieniec, co skronie okala,  
Nauka — ogień, co piersi przepala  
I wiecznie myśli człowieka druzgoce.

Dopiero wówczas duch odpocznie błogo,  
Gdy za materji granicami stanie;  
Tam ani sny czeze już męczyć nie mogą  
Obliczem czartów, marą sercu drogą,  
Ni ciągle złotych nadziei konanie.

Tak! zniknie wszystko to, co tylko boli:  
Troska i męka, co na świecie gości.  
Ramiona krzyża na grobie okoli  
Nie kwiat, wykwitły na skrwawionej roli,  
Ale kwiat czysty, kwiat mojej miłości.

Jedyne dobro, o, miłości święta!  
Dla dusz płomiennych tyś siły zasobem,  
Tyś droga, prosto do raju wytknięta.  
Duch mój z lat dawnych jeszcze cię pamięta,  
Więc towarzyszką bądź mu i za grobem.

Błogo nam było, gdy nieraz o zmroku  
W cieniu zielonej siedzieliśmy jodły,  
Co wszystko zgadła z czułych słów potoku,  
Co całą miłość widziała w mem oku,  
Słyszała nasze westchnienia i modły.

Rozkoszne chwile! — Lecz żegnaj mi, droga,  
Wiedz, sny miłości nie konają w grobie;  
Nie płacz, choć dola rozłącza nas sroga.  
Nim się znów złączym wyrokami Boga,  
Duch mój wciąż będzie tu gościł przy tobie.

I was, współbracia, żegnam, drodzy moi!  
Na roli ojców pracujcie wciąż cisi;  
Niechaj się w męstwo każdy z was uzbroi,  
Pogardza gwałtem, nadzieją się poi,  
A wieniec dla was na krzyżu już wisi.

Żegnajcie! Wkrótce duch zrzuci to brzemię,  
Usnę spokojnie w cichym chłodnym grobie.  
Nie dbam, czy nad nim laur zielony drzemie,  
Nie dbam, co o mnie ludzkie mówi plemie.  
Kochałem — oto wieniec, com go upłótl sobie!

*Tłum. Jan Nitowski.*

## PETAR PRERADOVIĆ

(1818—1872)

### HYMN

Pobłogosław, wielki Boże,  
To chorwackich serc ognisko,  
Przodków naszych bojowisko,  
Miłą ziemię, święty kraj,  
Niech odżyje, niech się wzmoże,  
Niech swym dzieciom stworzy raj!  
Pobłogosław, wielki Boże,  
Świętą ziemię, miły kraj!

Boże! zjednocz trójjedyny  
Kraj Chorwatów wspólny, cały,  
Niech nie cieszy się wróg śmiały,  
Szarpiąc w szmaty jeden kraj.

My jednego ojca syny,  
Więc nam jedną matkę daj!  
Boże, zjednocz trójjedyny  
Chorwackiego rodu kraj!

Krzep, umacniaj, wielki Boże,  
Ród nasz sławny, ród nasz miły,  
Przeciw wrogom dodaj siły,  
By zwycięsko toczył bój.  
Tego dnia niech błysną zorze,  
Gdy już tylko będzie swój!  
Krzep, umacniaj, wielki Boże,  
Naród nasz na każdy bój!

Boże, osłoń Twoich dzieci  
Doleń dotąd niewesołą,  
Przeciwników pognęń wkoło,  
Przyjaciołom daruj moc.  
Niech i nam Twe słońko świeci  
I rozproszy długą noc!  
Boże, osłoń Twoje dzieci,  
Naszą doleń, naszą moc!

Boże, dusz lodowe pęta  
Niech rozkruszą Twoje dłonie,  
Niechaj każde serce płonie,  
W każdym oku błyszczący żar;

Niech narodu sprawa święta  
W dusze dziwny leje czar!  
Boże, skrusz lodowe pęta,  
W sercach święty rozpal żar!

Boże, powróć przeszłość sławną,  
Sprawiedliwej nie skąp chwały;  
Długo czeka lud zboląły,  
By znów tem, czem niegdyś, był.  
Zapłać mu choć za krew dawną,  
Zanim nowa tryśnie z żył!  
Boże, powróć przeszłość sławną,  
Uczyni lud, czem niegdyś był!

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

#### POETA

Znowu, znowu chciałbym śpiewać,  
Ale nie wiem, jaką nutą:  
Czy mam śpiewać pieśń wesela,  
Czyli w smutku pieśń zakutą?

Przy mem oknie usiadł zrana  
Niewidzialny sokół biały;  
Jam się zbudził — i widziadła  
Senne moje wnet skonały.

«Powstań ze snu, mój poeto!  
Po raz trzeci kur już pieje,  
W mgłach jutrenka się rozplywa,  
Wkrótce słońce zajaśnieje.

«Między niebem i tą ziemią  
Twoja droga tak daleka  
Do błyszczącej tej świątyni,  
Gdzie kochanka na cię czeka.

«Naprzód dalej, naprzód śmiało,  
Wgórę skrzydły potężnemi!  
Tyś już głośny w całym świecie,  
Tyś kochanek własnej ziemi.

«A tak piękna twoja droga:  
Wszędzie widok masz odkryty,  
Obok pełne kwiatów błonie,  
Wgórce niebios lśnią błękity».

— Mój sokole, mój aniele!  
Ty się patrzysz na mą drogę  
Z wysokości własnej sfery.  
Ja tak widzieć jej nie mogę.

Tobie ziemia się wydaje  
Jasną gwiazdą palającą;  
Wszystkie ciernie jej i bóle  
Wyobraźni twej nie mąca. —

«A więc wznies się ponad ziemię,  
Wznies się skrzydły potężnemi!  
Ciernie muszą kłuć każdego,  
Kto przepelza po tej ziemi».

— Nie mam skrzydeł; zresztą dla mnie  
Matką ziemską ta kraina,  
A syn kocha i złą matkę,  
Matka nawet złego syna. —

«O, poeto nieszczęśliwy!  
Tyś jak listek nad mogiłą,  
Nim dojrzałeś w blaskach słońca,  
Samo słońce cię spaliło.

«Wiatr cię wznosi w niebo, ziemia  
Do swojego tuli łona.  
Między niebem i tą ziemią  
Twoja dusza wiecznie kona».

*Tłum. Jan Nitowski.*

#### CZTERY ŹRÓDŁA

Z kosowskiego bojowiska  
Czworakie tam źródło tryska:  
Jedno mleka bielutkiego,  
Drugie wina rumianego,  
Trzecie bije strugą krwistą,  
Czwarte wodą przezroczyłą.

U krynicy pielgrzym stanie  
I zadaje jej pytanie:

«Przecz te strugi mleka płyną?»  
— By wykarmić dzieci twe! —  
«Przecz-że to czerwone wino?»  
— By ożywić serce twe! —  
«Przecz ten strumień bieży krwisty?»  
— Żebyś z niego zemstę pil! —  
«Przecz ten wody przezroczyłej?»  
— Żebyś z siebie hańbę zmył! —

*Tłum. Roman Zmorski.*



## IVAN MAŽURANIĆ

(1814—1896)

## ZE «ŚMIERCI SMAIL-AGI CENGIĆA»

## Tułacz nocny

Słońce zaszło i miesiąc już wschodzi.  
 Kto to chyłkiem w wąwozy z wąwozów  
 Wciąż się skrada w stronę Czarnej Góry?  
 Nocą idzie, w dzień zaś odpoczywa,  
 Junak niegdyś, dziś nie junak wcale,  
 Ale trzcina, którą wiatry chwieją.  
 Gdy wypełźnie wedle drogi żmija  
 Albo zając z pod krzaku wyskoczy,  
 On, co niegdyś sroższy był od żmii,  
 Dziś się trwoży gorzej od zająca.  
 Myśli biedny, że wilk górski bieży  
 Lub od wilka gorszy hajduk górski,  
 Drży ze strachu, że mu zguba grozi,  
 Nim osiągnie, czego serce pragnie.  
 Drogo ceni swoją jasną głowę;  
 Choć nie złota ani pozłacana.  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Czy to hajduk, czyli szpieg turecki,  
 Który śledzi miękkorunne stada  
 Albo woły z krętymi rogami?  
 To nie hajduk ani szpieg turecki,  
 Lecz Nowica, kawaz<sup>1</sup> u Čengića,  
 Srogi Turczyn, ów wróg Czarnej Góry,  
 Co go znali i starzy, i młodzi;  
 Nawet wile-by<sup>2</sup> go nie przeniosły,  
 Nie już własne nogi junakowe,  
 Wiennej porze tam na Czarną Górę.  
 Przez ramiona strzelba przewieszona,  
 A jatagan srogi ma za pasem,  
 Obok niego są dwa pistolety.  
 Płaszczem zakrył owo gniazdo żmije  
 I opanki lekkie wziął na nogi,  
 A fez goły na junacką głowę,  
 A turbana nie ma ani śladu.  
 Bez turbana oto Turczyn idzie;  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Zręcznie junak przeszedł górę Cuce  
 I Bielice, słynne z częstych bojów,

Po skalistych drapie się Cieklicach,  
 Wciąż się drapie, modli się do Boga,  
 By pozwolił przejść i przez te góry  
 I by nikt go dojrzeć tam nie zdołał.  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Drugie kury pieją pod Cetynją,  
 Już Nowica na cetyńskim polu,  
 Trzecie kury pieją w samym mieście,  
 A Nowica wchodzi do Cetynji.  
 Zaraz strażnik pomoc Bożą wzywa:  
 «Pomoc Boża, strażniku cetyński!»  
 A straż jemu piękniej odpowiada:  
 «Szczęście tobie, nieznany wojaku!  
 Skąd ty jesteś, z której idziesz strony?  
 Jakie ciebie tu przyniosły losy,  
 Że, junaku, zjawiasz się nam rano?»  
 Mądry Turczyn, kiedy mu potrzeba,  
 Mądry Turczyn mądrze odpowiada:  
 «Gdy mię pytasz, prawdę powiem tobie:  
 Jestem junak tam z Moraczy chłodnej  
 I z Tusiny, siola małego,  
 Z pod rozgłośnej góry Durmitora.  
 Noszę w sercu swoim trzy boleści:  
 Jedna w sercu mojem boleść taka,  
 Że mordował Čengić Moraczanów;  
 Druga w sercu mojem boleść taka,  
 Że mi Čengić ojca zamordował;  
 Trzecia w sercu mojem boleść taka,  
 Jeszcze większa to, że zbójca żyje.  
 Jak ci miły wielki Bóg na niebie,  
 Puszczajże mnie do władzyki twego,  
 Do mojego i twego władzyki,  
 By uleczył moje trzy boleści».  
 Mądrzej jemu straż więc odpowiada:  
 «Rzuć twój oręż, nieznany wojaku,  
 Ruszaj sobie, dokąd się podoba».  
 Turczyn stuka do książęcej bramy,  
 A ostatnia gwiazda schodzi z nieba:  
 Była gwiazda to Čengića-agi.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

(«Czeta», hufiec czarnogórski, idzie walczyć z wrogiem; spotkany w drodze kapłan błogosławi i tak przemawia:)

Dziatwo moja, chrobrzy bojownicy!  
 Was to owa ziemia urodziła,

ziemia skalna, ale dla was — złota.  
 Dziady wasze tutaj się rodziły,

<sup>1</sup> Kawaz — policjant.

<sup>2</sup> Wila — w mitologii Słowian, zwłaszcza południowych, boginka, sprzyjająca dobrym, sroga dla złych.

ojce wasi rodzili się tutaj,  
i wy tutaj zrodzeni jesteście —  
dla was w świecie nic lepszego niema.

Dziady wasze za nią krew przelały,  
ojce wasi za nią krew przeleli  
i wy sami za nią krew lejecie —  
dla was w świecie nic droższego niema.  
Orzeł gniazdo na skale buduje,  
bo swobody w równinach nie czuje.

Z was, którzyście zwyczajeni  
pędzić wasze dni surowo,  
któż dba o to, czyli skały — winem,  
czyli skały obrodziły zbożem,  
czyli skały są jedwabiem pełne —  
póki w źródłach ciecze woda chłodna,  
póki w łąkach ryczą liczne stada,  
póki w górach słychać bek kierdeli?

Proch posiadasz, dosyć masz ołowiu,  
i prawicą junacy się szczycą.  
Z pod brwi ognie miota wzrok sokoli,  
w piersiach serce płomieniste bije.  
Wiara — mocna; nie odmienisz wiary,  
a pobratym strzeże pobratyma,  
żony wierne tulą wiernych mężów,  
i pieśń zacna głosi twoje dzieło...  
Chcesz żelaza? Turczyn ci je niesiel  
Masz więc wszystko, czego sercu chce się!

Lecz nad wszystko, co te skały zdobi,  
jest krzyż święty — nad wszystko urasta.  
On to w każdej krzepi was potrzebie,  
on, miłościw, z nieba was ochrania.

Obyż inne dostrzegły narody  
z nizin, z mroczy, skąd nie widzą oczy,

krzyż ów sławny, krzyż niezwyknięty,  
ponad Lowczen ku górze wzniesiony!  
I wiedziały, jak potwór turecki  
rad go polknąć swą paszczą strasliwą,  
ale stale kruszy ząb na skale.  
Może gnuśneby zadrgały ręce,  
gdy za krzyż ten wy padacie w męce;  
możeby was dziczą już nie zwali,  
was, ginących, kiedy inni spali!

Wyście umrzeć za krzyż ten gotowi;  
by zań ginąć — dzisiaj-ście powstali,  
gniewu Boga waleczni mściciele!  
Lecz kto idzie pełnić służbę Bożą,  
niechaj z czystym sercem służy Jemu.  
Z czystą duszą służyć Bogu trzeba,  
gdy chcesz spełnić, co On każe z nieba.

Czyli z was kto nie ukrzywdził brata?  
Czy nie ciąży taki grzech na duszy,  
że słabszemu zabrał drogie życie?  
Czy nie zamknął drzwi przed wędrownikiem  
lub obiecał, a nie strzymał wiary?  
Łaknącego z pokarmem ominął  
lub rannemu rany nie spowinał?  
Grzech — to wszystko, wszystko — grzeszne  
Bez kajania niema spustu winy. czyny.

Kajcieże się, póki dzień przed wami,  
póki czas jest, dzieci, kajcieże się!  
Kajcieże się, pokąd nie wezwana  
dusza k'Temu, co jest na niebiesiech.  
Kajcieże się, bowiem dla ziemiana  
czas upływa chyżo — kajcieże się...  
Kajcieże się... Może kto z was zrana  
tam, skąd nikt nie wraca, się przeniesie?...  
Kajcieże się...

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

## AUGUST ŠENOVA

(1838—1881)

### Z CYKLU «BARWINEK»

#### Kwiat

Więdnij, kwiatku, już śnieg prószy,  
Zima sroga tchnęła chłodem!  
Ach! mrok zapadł i w mej duszy,  
I me serce ścięte lodem.

Konaj, słońce! Twa korona  
Zniknie wkrótce za wyżyną.  
Ach! tak złoty sen mój kona,  
Młode złote dni me giną.

Gaśnie święta skra zapału,  
Na mem niebie błedną zorze,  
I sam kopię grób pomału,  
A w nim własne serce złożę.

Nie żądałem marnej chwały,  
Pieśni moich fałsz nie plami,  
Bo jęk serca powtarzały  
Struny lutni mej przed wami.

Jam w swe pieśni prawdę wlewał,  
Bo mną wyższa rządzi siła,  
Bo gdym tylko pieśń zaśpiewał,  
Pieśń świątynią dla mnie była.

A w mej duszy zajaśniały  
W złotym blasku widma rojem,  
Zrodziły się burze, szwały,  
Co miotają sercem mojem.

I nad światem bujać chciałem  
Swemi skrzydły potężnemi,  
Ale w locie je zламаłem,  
I los przykuł mię do ziemi.

I dlatego skra zapału  
Gaśnie, bledną moje zorze,  
Grób otwiera się pomału,  
A w nim własne serce złożę.

I dlatego milcz, ma pieśni!  
A gdy legnę już w mogile,  
Ty z grobowej wyjdiesz cieśni  
W nieśmiertelnej życia sile.

*Tłum. Jan Nitowski.*

#### WALECZNA ZOFKA

Toczy Gniezna chłodne wody, nurtem stopy góry rosi,  
a na górze — cud nad cudy: to Trembowla baszty wznosi.  
Na kamieniu kamień twardy śmiała ręka poskładała;  
wokół głazów na jej czole chmura się spowija biała.  
Nakształt orła twierdza strzeże, by na chrześcijan wróg nie natarł;  
o te skały rozbił nieraz czerep Turczyn, Wołoch, Tatar.  
Rozbił czerep i napróżno znów o twierdzę siłą bije:  
nad skałami, wyżynami orzeł polski wciąż się wije.  
Hej! Niech wściekły Turczyn jeszcze swoje mrowie tu zawleka!  
Jan Chrzanowski, junak dzielny i kasztelan króla — czeka.  
Król Sobieski dał mu klucze, mówiąc: — Ustrzeż twierdzy ściany!  
Strzeż chorągwi z krzyżem świętej, gdy uderzą mużulmany!  
Jan Chrzanowski kord swój ostrzy, bohaterski huf sprawuje,  
a sokole jego oko wschodnie dale przepatruje.  
Przy junaku trwa w Trembowli wiernie jego Zofka miła.  
Boże drogi — toż niewiasta? Boże drogi — czy to wila?  
Kraków nie ma takiej krasy, nie ma Litwa, Ukraina  
ni Korona polska cała, jak szeroka jej równina,  
ani Stambuł, gród sultański, ani harem Tatarchana...  
Cudną w krasie wszystkim zda się młoda żona kasztelana!  
Kibić jodły, głos słowika, płeć jej gładka, śnieżno-biała,  
czarne oko ciska groty, w słodkim śmiechu kwitnie cała;  
jako kądziel — miękkie dłonie, kształt posągu ma, czarowna;  
dusza jej — to róża wonna, ale w sercu — stal hartowna.  
Szczęśliw junak, który krasę tulić do się taką może,  
obejmować i całować — toć to szaleć! Boże! Boże!

Ale biada, kasztelanie, naczó ci małżonka młoda?  
Spójrzjz oto ku wschodowi — na pieszczoty czasu szkoda!  
Patrz! ku tobie z mgły zarannej czarnem skrzydłem kruk się winie,  
a za krukiem wielką hurmą pelza Turczyn po dolinie.  
Pole błyszczy dzirytami, trawę pokrył Turków szalas,  
zewszaąd słyhać: Allach! Allach! zewszaąd śmierć i zguba naraz.  
Wściekły Turczyn, nito fala, miota się pod samą górę,  
ze swych bombard śle ku twierdzy śmiercionośnych kul wichurę  
Ale cóż szalone krzyki, z bombard paszczy burza cała? —  
Jan Chrzanowski tkwi spokojnie ponad murem, jako skała.  
W ręku jego — miecza błyski, w jego sercu — iskra żywa,  
a na znaku bohaterskim Boża Matka miłościwa.

Turczyn bije — zadygota twierdza — ale zagrzmia działa:  
 jako plewa się przed wiatrem moc turecka rozsypała.  
 Turczyn pnie się tłumniej, srożej — rani strzała kasztelana;  
 mignął szablą, plusną kule — szturm odparty muzulmana.  
 Oszalały Turczyn skoczy — Jan Chrzanowski lont podpali:  
 Turcy lecą, niby z chmury, na ziem czarną popadali.  
 Lecz potężniej lśnią wśród nocy błyskawice, hucają gromy;  
 baszty drżą, by wątle trzciny, murów lanią się ogromy.  
 Jan Chrzanowski wdół się kłoni — Boże! cud li w takiej wieści? —  
 jego ciało — jedną raną, kord mu przysł przy rękojeści...  
 Wówczas ogień ścihlł turecki, parlamentarz na mur wnijdzie:  
 — Wielu was tu jest — powiada — niechaj do dom każdy idzie!  
 Damy wam, co trzeba, w drogę, trzy białego wory srebra,  
 ale twierdzę nam wydajcie, bo i tak jej trzeszczą żebra.  
 Sklep się chwije, wojska mało, ogień nasz wam spiżę strawił,  
 a więc zbierzcie, giaury, rozum: gdyby Turczyn szturm poprawił,  
 legnie gród i wy z nim wszyscy — starzy, młodzi, żony, męży —  
 jako stado pośród wilków, wszystkich oręż nasz dosięże.  
 Klucze twierdzy nam oddajcie — to przemożna wola nasza;  
 usty memi sultanowy mówi rab — Ibrahim-pasza.

Noc jest cicha; ledwo jeden nikły płomyk pełga w sali.  
 Z mrocznem czołem siedzą wodze; na naradę się zebrałi.  
 — Wódz nasz ranion, twierdza licha, spiży brak, proch wystrzelany;  
 wojsk tureckich — jako mrowia, a z nas któryż nie ma rany?  
 Nas tu garść bezsilnych starców... Biedne dziatki, białogłowy!  
 Wszystko legnie, choć bez winy, bo pod handzar odda głowy.  
 Więc poddajmy się...

Aż nagle wchodzi żona kasztelana;  
 a w jej dłoni zamigota wąż ostrego jatagana.  
 Okiem zmierzy wodzów grono, w górę jasne wzniesie czoło  
 i, podszedłszy dwa-trzy kroki, śmieie rzuci tak wokoło:  
 — Tehórze podli dziś jesteście, coście lwami byli, zda się!  
 Spójrzcie: oto nóż w mych ręku, klucze twierdzy mam przy pasie.  
 Wydać twierdzę, powiadacie? Niema spiży, wodza braknie?  
 Czyliż chlebem li się żyje? — Jam wasz wódz, kto wodza łaknie!  
 Pokręcajcież was sędziwy! Jam-ci jeno białogłowa,  
 alem jest prawdziwa Polka, krzyża córa Chrystusowa.  
 Słowo Turków — kłamstwo puste; cnota ma się wzdryga cała,  
 by się twierdza i niewiasta w biesa chytrą moc dostała.  
 Tak wam rzekę!... Niechaj wstanie ten, co myśli snuje szpetne:  
 jako Boga czcę na niebie — tu go z miejsca zaraz zetnę!  
 Skręcęm okiem w wodzów patrzy, śmiało wznosi stal trzymaną;  
 cała rada, zawstydzona, przed niewiastą gnie kolano.  
 Furkną szable, głos się wzbije: — Wybacz, córo ty wybrana!  
 Niech nam żyje wódz niewieści! Wiwat żona kasztelana!

Jak z gardzieli górskiej potok, gdy go nagła wściekłość spieni,  
 popędzili w bój rycerze — a na czele, wśród płomieni,  
 gna mścicielka ta urodna!

Hufiec niszczy, pali, kosi,  
 w ciszę nocy i w mrok nocy śmierć stokrotną z sobą wnosi.  
 Turczyn zgrzyta: — Piekło wstało! —

Turczyn bieży, Turczyn pada.  
 — Czart morduje nas po nocy! Allah! Allah! Biada! Biada!...

Turczyn uszedł całym szykiem — lecz gdy brzask zaświtał młody,  
 rozelśniła naprzeciwko cała góra od urody:  
 pod białego orla znakiem — siła straszna, siła nowa,  
 a przed wojskiem — Jan Sobieski, jak prawica Herkulowa!  
 — Kędy Turcy? — każdy pyta, lecz ich losów żaden nie zna...  
 Pobił-ci ich król Sobieski, precz uniosła w wodach Gniezna.

Toczy Gniezna krwawe wody, nurtem stopy góry rosi,  
 a na górze — cud nad cudy: to Trembowła baszty wznosi.  
 A zaś w grodzie — Jan Sobieski wszem junakom wino toczy;  
 wyciągnąwszy karabełę, król na nogi chybko skoczy.  
 Przykląkł król przed piękną Zofką, miecz swój sławny przed nią składa,  
 pantofelek Zolki chwycił, wina nalał i zagada  
 w owe słowa:

— Pierwsze zdrowie, ze wszech niewiast ty najpierwsza,  
 niechaj król twój oto wzniesie, gdy w nim wzbiera chęć najszczerza!  
 Przed twą sławą król się kloni, cały kraj cię dziś wspomina;  
 jak cną jesteś białogłową, równie cnego poródź syna.  
 Weźmij szablę twego króla — jest po stokroć hartowana;  
 gdy twój mąż jej nie podźwignie, bądźże ty nią opasana!...  
 Wpół się schylił i wychylił Jan Sobieski duszkiem zdrowie  
 z pantofelka; za nim pili wszyscy sławni junakowie.  
 W twierdzy dźwiczę, czasa brzęczy... Niechaj wiedzą wsie i miasta,  
 że gdy junak szablę roni — piękna ujmie ją niewiasta.

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

## FRANJO MARKOVIĆ

(1845—1914)

### Z «DOMU I ŚWIATA»

(Major wznosi toast na cześć wina.)

Tak, moje dzieci, głoszę chwałę wina,  
 Tego ojczyzny naszej ciepłej syna;  
 To niebo, ziemia ta, co go spłodziły,  
 Miłować wolność z dziecka go uczyły,  
 Wykotysały wietrzyki na wiosnę,  
 Ćwierkały nad nim jaskółki radosne,  
 Wracając z drogi do ojczyzny milej,  
 Wichry i burze w serce mu wszczepiły  
 Nieustraszoność, a słońca promienie  
 Uczyły, żeby fałszu zradne cienie  
 Miał w obrzydzeniu, kochał prawdę świętą  
 I z kłamstwa maskę zdejmował przekłętą.  
 Gdy go chowali tak druhowie szczerzy,  
 Jako sokolę w gnieździe u macierzy,  
 Wkrótce wyrosło chłopię na młodziana;  
 Lecz z latorośli jagoda zerwana  
 Poszła pod prasę, ta, groźna i sucha,  
 Niby artykuł kodeksu, chce ducha  
 Wycisnąć z niego. Potem wnętrza soki  
 Zamknięto w kadzi, spuszczone w głęboki  
 Dół, by wykypiał w nim duch buntowniczy.  
 W kryjówce jeniec siedzi tajemniczej,

Nie widzi wcale słońca ni miesiąca,  
 Jednak nie drzemie w nim ducha treść wrząca,  
 Lecz siły skupia i jemu blask zorzy  
 Dni nowych wrota zamknięte otworzy.  
 Wyszedł z ciemnicy junak nad junaki,  
 Radośnie wita go człowiek wszelaki,  
 Nalewa w czarę, obejmuje dłonią,  
 Wesolą pieśń mu szklanki wkoło dzwonią,  
 Niedługo jednak użyć zdola lubej  
 Swobody — pijak pragnie jego zguby,  
 W łakome gardło leje ponad miarę,  
 Poprzysiągł zniszczyć bezbronną ofiarę,  
 Lecz dzielny junak, silniejszy niż plemię  
 Złych krzywdzicieli, zwałił go na ziemię.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### AUGUST HARAMBAŠIĆ

(1869—1911)

#### MOJE SERCE

Moje serce to kościółek biały,  
 W nim ofiarńy cudny kamień stoi,  
 Na nim płonąć przez mój żywot cały  
 Będzie miłość dla Chorwacji mojej.

Na nim wszelkie możliwe ofiary  
 Dla narodu mego chętnie złożę,  
 Wsze pragnienia, nadzieje mej wiary,  
 Że je kiedyś spełniesz, wielki Boże!

Pod kamieniem trumna niespróchniała,  
 W niej żywota mojego połowa;  
 Moje serce to świątynka biała,  
 Która w sobie grób mej miłej chowa.

Nad nim mały krzyżyk jest wetknięty,  
 Pod nim luba leży w śnie bezpiecznie;  
 W grób ją wtracił losów cios zawzięty,  
 Lecz w mem sercu mieszkać będzie wiecznie.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### KSAVER ŠANDOR DJALSKI-BABIĆ

(ur. 1854)

G A J<sup>1</sup>

(Wyjątek)

Stałem na wzgórku przed pawilonem dalmackim, i oczy moje rozkoszowały się przesłicznym, niemal czarownym obrazem wystawy w porze wieczornej. Nadole falowały nieobjęte okiem tłupy w ciągłym ruchu, i wietrzyk wieczorny niósł do moich uszu wesołe rozmowy, młode głosy, śmiech słodki. Szum srebrnych bryzgów fontann łączył się ze słodkim szmerem i mruzeniem wodospadu — i zdało mi się, że słyszę

<sup>1</sup> Ljudevit Gaj (1809—1872) — wielki patrijota, który stanął na czele ruchu iliryskiego.

i czuję ruch potężnych sił jakiegoś młodego żywota. A czarodziejskie światło słońc elektrycznych zalewało cały piękny obraz promieniami swojemi, przy których blasku widziałem białe lica i wysmukłe kibicie dziewczę, rozrosłe barki dzielnych chłopców ze wszech stron rodzinnego kraju, widziałem prześliczny ogród z kwiatami i kobiercami z zieleni, widziałem rozkoszne pawilony — i duszę mą ogarnęło uczucie rozrzewnienia, dumy i szczęścia, że wszystko to mogę nazwać chorwackiem, i usta szeptały ciągle: «Oj, Chorwacjo, matko moja!»

W oddaleniu, z balkonu pałacu Towarzystwa śpiewackiego zabrzmiała naraz pieśń — pieśń stara, święta. Lud, porwany uroczystym nastrojem, podchwycił ją wnet potężnym, niby grzmot, głosem: «Oj, ojczyzno piękna nasza!» Zahuczały oklaski, pełne zapału okrzyki wydarły się z tysiąca piersi, i fale tego zapału rozeszły się po całej wystawie, jak rozechodzą się bałwany po morzu. Z przeciwnej strony ozwała się jednocześnie muzyka, i doleciały ucha mego akordy starej melodji iliryskiej: «Żyje jeszcze kraj nasz miły!»

Lży trysnęły mi do oczu, ze wzruszenia zamknąłem powieki. Dokola mnie brzmiały dźwięki pieśni i marsza — a przed wzrokiem ducha ukazał się obraz epoki, gdy rodziły się owe pieśni, gdy ten zapal, który miałem przed oczyma, był dopiero w zarodku. Dźwięki brzmią nieustannie, ciągle dźwięczą dokola mnie stare akordy, a z niewyraźnych rysów składa się w duszy mej jeden obraz skończony.

W obszernej sali w starym, dobrze mi znanym dworze u jaśnie wielmożnego radcy królewskiego i asesora sądu namiestnikowskiego Tomasza Bankowića zebrało się liczne towarzystwo na dzień św. Gabryjela, na obchód imienin gospodyni domu. W półciemnej sali rozległy się echa wesołych głosów, swawolnych żartów i niepowściągniętego śmiechu, a puhary brzęczały niby dzwony. Wśród mówek i głośnych okrzyków nie słyszałeś jednak ani jednego słowa chorwackiego. Rozbrzmiewały wyłącznie oracje łacińskie starszych osób, rozmowa toczyła się po niemiecku z ust pań i panierek, madziarska z pod wąsów młodych paniczów. Milczy jedna tylko osoba, milczy, więc cię pociąga — bo nie słyszysz od niej obcej mowy. Jest to sędziwa matrona, matka starego gospodarza domu, której młodość przypadła na czasy przed Józefem II, więc oprócz jakiejś modlitwy po łacinie i jakiegoś frazesu salonowego po francusku mówiła wyłącznie po chorwacku. I oto dlaczego w tem dobranem towarzystwie, we własnym domu, milczeć musiała.

Pod koniec obiadu wstał najstarszy syn Stefan, asesor na sejmie w Preszburgu, i poprosił o pozwolenie odczytania swych poezyj, ułożonych na cześć dnia dzisiejszego oraz na cześć rodziny swojej. Młodzian to był wielce utalentowany i rozumny, a jego gorąca, pełna zapału dusza pod każdym względem nosiła znamię prawdziwego, wybranego od Boga poety. Towarzystwo aklamacją przyjęło propozycję. Stefan ją czytał. Pierwszą poezją była piękna oda łacińska; gdy więc ją skończył, starzy panowie żądali, aby ją odczytał po raz wtóry. Drugą była ognista rapsodja madziarska, w której wysławiał chwałę Arpada i zwycięstwo narodu madziarskiego. Z zapalem pochwycili go na barki młodzi panicze, i stary dwór szlachecki trząsł się od głośnych okrzyków «eljen!». Dopiero po kilku minutach, gdy ochłonięto nieco z zapału, Stefan mógł czytać dalej, mianowicie trzecią poezję swoją, romantyczną elegję niemiecką, w której wypowiadał miłość swą dla matki, sióstr i starej babki. Panie, wzruszone pięknymi słowami pieśni, zalały się łzami; matka, siostry, a nawet obce panie z uniesieniem ścisnęły młodziana.

Tylko babka-staruszka, którą w poezji najwięcej wysławiał, która gorąco go kochała i zawsze poglądała nań z dumą, siedziała cicho, w milczeniu. Skoro wnuk przystąpił do niej, aby otrzymać i od niej pocałunek, podała mu rękę do pocałowania i rzekła:

— Dzięki ci, moje dziecię! Musi to być piękne... ale ja nic o tem nie wiem... nie rozumiałam ciebie. Czemuż mi tego nie powiedział po chorwacku?

— Po chorwacku? — podchwycił wnuk zdumiony... i całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Staruszka z żalosnem obliczem chciała powtórzyć swe słowa, gdy drzwi sali rozwarły się naraz i wszedł gość nowy.

— *Vivat clarissimus dominus!* — zawołał gospodarz, a za nim całe towarzystwo. Przybyły uklonił się zgromadzeniu uprzejmie i wytwornie. Był to człowiek piękny z twarzy, ukladny, jeszcze bardzo młody. Eleganckie szaty najnowszej mody francuskiej dobrze przystawały do jego wysmukłej postawy średniego wzrostu. Wytworne maniery światowe przebijały w każdym ruchu. W delikatnych, pięknych rysach podługowatej twarzy, w ognistym wielkim oku, na białym wysokim czole widziałeś podniosły umysł; w mocno i twardo zaciętych wargach spostrzegałeś nieubłaganą wolę. Bujne, falujące włosy, dość długo zapuszczone, nadawały tej pięknej głowie charakter iście Apollinowy.

Był to Gaj — naonczas jeszcze tylko dr. Ljudevit Gaj, młody uczonek, który dopiero co powrócił z obcych krajów. Po krótkich powitaniach gospodarz posadził go obok siebie i ze wszech stron zasypano go pytaniami o jego życiu zagranicą, o obcym świecie... Wszyscy z niejaką dumą i zajęciem spoglądali na człowieka młodego, przystojnego, który już był otrzymał dyplom doktorski. Dziwne tylko im się wydawało, że na wszystkie ich pytania odpowiadał po chorwacku. Wkońcu stanął przed nim stary podżupan Ilić, zapalony obrońca «praw municypalnych» królestwa oraz języka lacińskiego, i opowiedział mu dopiero co zaszłą scenę.

— Być może zrozumie pan pragnienie staruszki? — dodał starzec z pewną ironją.

Gajowi zaiskrzyły się oczy, i piękne oblicze zapłonęło rumieńcem. Gdy mu starzec opowiadał, co się stało, kręcił się niespokojnie na krzeselku. Naraz zerwał się i sokolem spojrzeniem powiódł po całym towarzystwie.

— A któż to nie rozumie pragnienia jasnie wielmożnej pani? Czyliż ono nie jest tak naturalne, jak to, że ziemia obraca się około słońca, że potok płynie do swej rzeki, a rzeka do swego morza pośpiesza?... — Z temi słowy Gaj powstał, a dźwięczny potężny głos jego drżał ze wzruszenia. — A ja wam powiadam, że sam Bóg chciał, aby to pragnienie zostało wypowiedziane. Mnie wprost się wydaje, jakoby Stwórca wszechmocny umyślnie darował jasnie wielmożnej pani długie lata, aby wnuk usłyszał z tych ust przeznaczonych owo pragnienie — i aby je spełnił. Wy zaś, przesławni i wysoko urodzeni panowie, coście śmiali się z tego pragnienia, zaiste nie bylibyście tego uczynili, gdybyście wspomnieli sobie owe dźwięki, które brzmiały nad kolebką waszą! Alboż dźwięki te nie są tak czarowne, tak słodkie, tak piękne, jak piękna jest pieśń słowicza, jak mile brzmią struny liry? a czegoż nie można wypowiedzieć w tym języku?... Oh... wszystko... wszystko!

I Gaj wznosił rękę do nieba, jakgdyby tam szukał potwierdzenia słów swoich. Potrząsnął wraz głową, jakgdyby mu się coś przypomniało.

— Proszę pana o te wiersze! — rzekł, zwracając się do Stefana, i żywo pochwycił papier w rękę. — Oto, miłościwa pani... popróbujemy spełnić wasze życzenie. — To mówiąc, Gaj grzecznie pokłonił się staruszce. Chwilkę czytał pocichu wiersze, gdy tymczasem całe towarzystwo, pod wrażeniem słów jego, siedziało cicho i spokojnie.

Naraz wyprostował się i, trzymając przed sobą oryginał niemiecki, zaimprovizował przekład wiersza w mowie ojczystej. Wszyscy zdumieni się i poglądali nań, niby na dziwo jakie. Czegoż nie byłby dokazał wtedy w wielkim swoim zapale? Słodka mowa rodzinna chwytiała obecnych za serca, i nie doszedł jeszcze do połowy wiersza, gdy już każdy z nich drżał ze wruszenia i radości, a gdy skończył, powitało go huczne «vivat!», wśród którego przystąpiła doń staruszka i obiema rękoma objęła go za szyję. Sam poeta ze łzami w oczach w milczeniu wziął wiersz swój niemiecki, zapalił go od świecy... i zaraz potem, przystąpiwszy do Gaja, z zapalem przycisnął go do piersi i prosił, aby mu był bratem.

— Czyliż to nie cudny język? — mówił Gaj, nie siadając wcale. — I ten dar Boży my sami odtrącamy od siebie! Ach, panowie moi, alboż naród może istnieć bez swego języka? Ani tytuł królestwa, ani prawa nasze... nic nie jest taką mocną twierdzą wolności i przyszłości tej świętej ziemi, która nas rodziła, jak język nasz... język naszych matek, naszych dzieci! — — — — —

*Tłum. Bronisław Grabowski.*



## SILVIJE STRAHIMIR KRANJČEVIĆ

(1865—1908)

## ŻART ŚMIERCI

Wśród puszczy szarej człek jęczy,  
 Łzy leje i marszczy brwi,  
 Ciężką boleścią się dręczy,  
 Usta zagryza do krwi.

Wśród męki, potu i znoju  
 Wlec musi potężny głaz  
 Na piramidę pokoju  
 Królowi po wieczny czas.

Bez końca wlecze i wlecze  
 Za chleba suchego płat;  
 A bicz wciąż, jak skorpion, siecze  
 Zbiedzone *khu*<sup>1</sup> mu i *khat*<sup>2</sup>...

U wrót się rozsiadł pałacu  
 Młodzieńczy Egiptu król,  
 Szerokie oczy obraca  
 Na lany ojezystych pól.

Narówni stawia z Ammonem  
 Obludnych go dworzan chór:  
 Błaga powszechnym jest tonem —  
 Wierście — zna każdy ją dwór!...

Egiptu wschodząca sława  
 Spogląda w szeroką dal,  
 Jak Nil się gniewem napawa,  
 Jakby skrył smoka wśród fal.

Fatalny los Faraona! —  
 Śmierć właśnie szła tam przez gród  
 I, pańskim głosem zwabiona,  
 U parku stanęła wrót.

Młodzieńców obu słyszała,  
 Szalone ich prośby dwie —  
 I wrzasła jęzda spróchniała  
 Okropnie: «Juhehe!»

Na czole Nuty<sup>3</sup> płonącej  
 Głazów już znaczył się rys,  
 Lecz łzy nie ujrzał gorącej  
 Ammon-Râ-Hamarkhis.

Nędzarcz się zwraca ku niemu:  
 «Wielki, o, zmiłuj się, Râ!  
 Czemu, ach, dałeś mi, czemu  
 Niewolne *khat*, *khu* i *ba*<sup>4</sup>?...

«Raczej niech wiatrów pustynie  
 Me kości rozniosą w puch,  
 I wieczną śmiercią niech zginie  
 Na wieki wieczny mój duch!...»

Król woła wśród wód odgłosu:  
 «Przecudny jest życia bieg!...»  
 Znikł dlań pod kwieciami lotosu  
 Rój gadów i bagna stek.

Lecz żal mu, że ojciec w grody  
 Zamienił niw obszar i wzgórz;  
 Przeklina myśl tej metody —  
 Bo cóż on zbuduje, cóż!...

I westchnął: «Byle przedwcześnie  
 W grób nie padł tron mój i ja!...»  
 Rój błaznów ryknął pośpiesznie:  
 «Za słaby nato i Râ!»

Dźwignęła się dłoń jej sucha —  
 I młody królewicz padł...  
 Pozostał nędzarcz bez ducha,  
 By dźwigać kamień i — jad.

Jutro wykopie grób z rana,  
 Kłąć będzie siebie i świat  
 I w mumję oprzędzie pana,  
 Co śmierci tak nie był rad.

Pojutrze nad chłopem może  
 Wielki zlituje się Râ, —  
 Więc na ofiarę w pokorze  
 Rozerwą mu *khat*, *khu*, *ba*!...

Tłum. Tad. Stan. Grabowski.

<sup>1</sup> umysł;    <sup>2</sup> ciało;    <sup>3</sup> niebo, bogini niebios;    <sup>4</sup> dusza.

## IVO VOJNOVIĆ

(1857—1929)

## Z «TRYLOGJI DUBROWNICKIEJ»

(Akcja pierwszej części, noszącej tytuł «Allons enfants», toczy się w roku 1806, kiedy armja napoleońska pod wodzą generała Lauristona żąda od senatu dubrownickiego oddania miasta. Książę dubrownicki wraz z senatem okazuje skłonność do oddania miasta Francuzom bez walki, obrońcą zaś wolności, świadomym, że zajęcie Dubrownika przez wojska francuskie położy kres republice, jest patrycjusz Orsat Wielki; w jego pałacu odbywa się narada.)

Orsat (*patrzac przed siebie twardym, pełnym grozy wzrokiem, wyrzywa się, chcąc się uwolnić od otaczających*): Żyw jestem!... Żywu!... Słyszycie?... (*patrzac na księcia, jakby go pierwszy raz obaczył*) Dlaczegoż przywdziany w purpurę? Dlaczego? Kiedy nie stało pięknej gorącej krwi, która zmywa wszystkie grzechy — kiedy niema łez i bólu — kiedy to wszystko ginie w błocie, hańbie i ohydziel!... A!... (*drgnął, jakby dosięgnąwszy szczytu, spojrzal w daleką przestrzeń*) Oto!... Oto!... Brama się otwarła — opada most — wchodzi... wchodzi!... Ilu ich!... Ilu!... Najpierw Francuzi! Wszystko migoce od złota, pióra, chorągwi!... Piękny lud! Wszyscy żądni sławy, wszyscy głodni kobiet!... A za nimi inni, inni, o!... coraz gorsi, potworniejsi! — zgnębieni, nędzni, dzicy! A wszyscy chcą przejść przez te wrota!... Wszyscy się śmieją, wszyscy plwają na czarne mury, wszyscy skrzeczą: «A gdzież się podziała korona twoja! Gdzie twoja wolność?... Oto jesteś, jako i my!» O!... (*jeszcze płonął cały potężnem uniesieniem, gdy księżę w towarzystwie Tomasza i Karola wyszedł, Dژیwo i jego stronniczy odprowadzili ich, otoczywszy kołem, potem pozostali w głębi, patrzac gniewnie i z szyderczym śmiechem na żal Orsata. — On jakby budzi się do świadomości; ale myśl, która dała mu wzlecieć na szczyt uniesienia, zmieniła ton; przypatruje się wszystkim, czy nie znajdzie innego wnijscia do niemych dusz gospodarów*) Jeszcze jesteśmy szlachtą... Ja!... ty... my — my króle, my władcy! Gdzie się zjawimy, cesarom kroku nie ustępujemy! Nasze jest morze i nasze twierdze, i nasze są kościoły i pałace — tu jeszcze wszystko żywe — żywe! A gdy tego wszystkiego nie stanie! Gdy dzieci ztracą pamięć o nas i znamię swobody i pójdą, tułacze, szukać po świecie imienia, prawa, władzy — i zapomną, że tu ich panowanie i państwo!... A wszystko, co zostanie, to poddańcza, przeklęta poddańcza rzesza! (*Od jednego do drugiego biega, z młodym, pełnym wesela entuzjazmem, ale i pytaniem, pełnem wątpliwości i lęku w oczach, czy jego słowo nie jest bezsilne i bezowocne.*) A jeśli owa tysiącletnia ziemia swobody ma zginąć, chodźmy!... bracia — dzieci! Okręty nasze są w porcie! Wstąpmy na nie, unieśmy z sobą chorągiew świętego Błażeja i ruszmy żagle, jak ojcowie ojców naszych! O, błogosławiona żeglugo! Pójdźmy! Pójdźmy!... Mewy i chmury pytać nas będą: «Ktoście? Kogo szukacie?» — a żagle odpowiedzą: «To Dubrownik płynie! To ojczyzna szuka na nowo pustynnej skały, aby na niej ocalić wolność swoją. Wskażcie nam ją, obłoki! Wskażcie nam ją, mewy! Zawieźcie nas do błogosławionej greckiej ziemi!... do Hellady boskiej!... do ziemi bogów!... (*Wszyscy się zbliżają. Wszyscy wzruszeni, wstrząśnięci, niejedni mają łzy w oczach. Dژیwo mimowoli zadrżał.*) O! (*Orsat w boskiej rozkoszy, że słowo jego stało się prawie czynem.*) O! błogosławione te łzy!... śpieszcie, biegnijcie zatrzymać klucze!... O!... Zbawieni!... Zbawieni!... (*słychać wystrzał armatni*)

W s z y s c y (*wzdrygnęli się*): Co to?... Strzał armatni?

D ž i w o (*prawie zmieszany*): To jest znak...

Orsat (*z podejrzeniem, pełnem grozy*): Znak?... znak?... a księżę? a Karol? a Tomasz?... Gdzież oni? gdzie? (*sposzregłszy uśmiech ironiczny Dژیwa, który, wsparty na lasce, obojętnie się kotłysze*) A!... (*zrozumiał*) Zdrajcy... (*usiłuje rzucić się na niego, ale przyjaciele go wstrzymują.*)

D ž i w o (*chłodno, głęboko, naturalnie, jakby inny człowiek*): Nie możesz się skarżyć, Orsacie, pozwoliliśmy ci wypowiedzieć wszystko, co chciałeś! (*do pozostałych, tonem człowieka czynu*) Pierwszy znak, r o z u m i e c i e m i e: Lauriston przyjmuje naszych posłów... (*Drugi wystrzał. Pauza, pełna ciszy rozstrzygającego się przeznaczenia. Dژیwo ciągnie dalej nieco ciszej, jakby do siebie*) A... drugi: Francuzi wchodzi.

W s z y s c y (*w milczącym zdziwieniu, przerażeniu, niepewności i wyswobodzeniu*): A!...

Orsat (*nadprzyrodzoną jakby opanował się mocą. Jak posąg, ulany z brązu, pozostał sam, nieporuszony w pośrodku pokoju. Ledwo ślad widny w srogich błyskach oczu, drganiu ust, w mrożącej grozie głosu, że burza namiętności miota duszą jego, bo panem stał się nawalnicy. Tonem spokojnym, z pogardliwym uśmiechem i wyrazem wielkopańskim zwraca się do wszystkich grup, jakby ruchem pełnym uprzejmości wszystkich żegnał i wszystkich pozdrowiał*): No! — skończyło się i to! — Wybaczenie, że was tak długo przytrzymałem...

Mikołaj, Marek, Luksza, Mateusz (*wszyscy podają mu ręce, spoglądają w oczy, chcieliby go uściskać, ale wszystkim obca jest jego dusza*): O! Orsacie nasz!... Cóż teraz zrobimy?

Orsat (*jak wyżej, patrząc na nich z wyżyn bezgranicznej ironji*): Kiedy nie ścięliśmy im łbów — musiało się tak stać!... (*przymyka na chwilę oczy w okropnym bólu*) Odejdźcie!... Odejdźcie!... Zostawcie mnie samego!...

*Tłum. Helena d'Abancourt de Franqueville.*

### III. LITERATURA SŁOWEŃSKA

VALENTIN VODNIK

(1758—1819)

#### Z «PIEŚNI POSPOLITEGO RUSZENIA»

Nas wzywa najjaśniejszy pan  
Za kraj nasz chwycić broń!  
Grzmi w miastach bruk i wiejski łan,  
K sztandarom pędzi koń.

Przysięgę na nie każdy złóż,  
Bo niebo każe nam:  
A dokąd one ruszą już,  
Z radością pójdziem tam.

Przed nami stąpa pierwszy mąż,  
Cesarski jego ród<sup>1</sup>.  
Bez strachu za nim śpieszy wciąż  
Junaków dzielny lud.

Trwogi nie budzi krwawy bój  
Ni wrogów sroga dłoń;  
Za pokój złożym żywot swój,  
Natośmy wzięli broń.

I gdyby nasze wydrzeć chciał  
Zuchwały wrogów miecz,  
My, ochotnicy, skarcim szal,  
Najeżdzcę wyprzem precz.

Królestwom cudzym nasza dłoń  
Zaguby nie chce nieść,  
Ale za swoje dzierżym broń,  
Za swego kraju cześć.

Za boże słowo zwróci lud .  
Na wroga oręż swój,  
I za cesarski jasny ród  
Na srogi pójdziem bój.

Od nieprzyjaciół bronić złych  
Powinność to, nie srom,  
Ojca i matkę, miłych swych,  
I żonę, dzieci, dom.

I sprawiedliwy będzie bój,  
Co z nami stoczy wróg;  
Ten w jarzmo odda żywot swój,  
Kogo nie straszy Bóg.

Aby potwierdzić związek ów,  
Tu rękę każdy daj,  
A głos przysięgi świętych słów  
Niech brzmi przez cały kraj.

#### KOŃ NIEMIECKI I SŁOWEŃSKI

(Bajka)

— Co tak zwalniasz, bracie drogi? —  
Szwabski koń naszego pyta.  
— Czy masz słabą głowę, nogi?  
Czyś nie najadł się dosyta?  
Nie żalują mi obroku,  
Mają w dobrej pieczy wszędzie,

Nogi same drżą do skoku,  
Kark wyginam, jak łabędzie. —  
Nasza szkapa na to powie:  
— I ja miałbym krasę twoję,  
Ale walą mnie po głowie,  
Głodny ciągle w bloku stoję.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

<sup>1</sup> Arcyksiążę Karol.

## FRANCÉ PREŠÉREN

(1800—1849)

## RYBAK

Po całych nocach przez morskie tonie  
Żegluję rybak — wiosło wziął w dłonie —  
A nad nim gwiazda złocista płonie.

W pomroce świeci wciąż migolliwa,  
A z jej promyków miłość weń splywa  
I serce płacze w złote ogniwa.

Choć wichry wyją, świszczą jak żmije,  
Choć morski bałwan w słabą łódź bije  
I nieraz oczom przepaść odkryje,

On patrzy w gwiazdę; zgubna toń minie,  
I młody rybak bezpiecznie płynie  
Po niezmierzonej morza głębinie.

Raz się toń wodna pod nim rozdzieli,  
Dziewice piękne wyjrzą z topieli,  
Dziewice morza z przeźroczej bieli.

Śmieją się, szydzą, pluszczą radośnie:  
Rybaku wierny w żywota wiosnie,  
Długoż tak myślisz patrzeć miłośnicze?

Powiedz nam, czyli czekasz w tej toni,  
Aż się ta gwiazda ku tobie skłoni,  
Lub skrzydeł czekasz, by wzlecieć do niej?

Innyby nie dbał o gwiazdę wcale,  
Która nań z góry patrzy niedbale,  
I nie uciekał od nas przez fale,

A od złudzenia wolna powieka  
Wnetby spostrzegła, jak niedaleka  
Piękność, na którą twe serce czeka.

Wszystko, co mówią, to prawda szczerą,  
Nieznanych myśli głąb się otwiera,  
Rozpacz mu wierne serce rozdziera.

Nie dba na wichry, skały dokoła  
I już ku gwieździe nie wznosi czoła,  
Nadół je zgięta myśl niewesoła.

I dziwny uczuł żal w sercu swoim,  
Pędzi za dziewic zwodniczym rojem,  
Może chce uciec przed wewnętrznym bojem.

Zginie, utonie — serce drży we mnie,  
Kto bez nadziei kocha daremnie,  
Niech się nie puszcza za nim w te ciemnie.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## SIMON JENKO

(1835—1869)

## DZIEJE SŁOWEŃCÓW

Ostry ból mą duszą chwieję,  
Kiedy wspomnę nasze dzieje:  
Nikt ich nie zna, jak świat cały,  
Nikt im nie da wieńca chwały.

Innych ludów sławne czyny  
Marmur głosi i wawrzyny;  
O nas tylko ani słowa  
Pamięć wieków nie zachowa.

Kto wspomina dzisiaj sobie  
Tych, co dawno legli w grobie?

Marny prawnuk przez grób kroczy,  
Co niesławnych dziadów tłoczy.

Gdy godzina nam wybije,  
Czarna ziemia nas pokryje;  
Kto się będzie o nas pytał?  
Nasze dzieje z chlubą czytał?

Ród za rodem żyją, giną,  
Tak ojczyste dzieje płyną;  
Nikt ich nie zna, jak świat cały,  
Nikt im nie da wieńca chwały.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## SIMON GREGORČIČ

(1844—1906)

## RAJ UTRACONY

Stracony został raj nasz cudny, święty!  
Wyggnana płacze dziatwa Adamowa,  
Prosi i błaga u bramy zamkniętej,  
By litościwie otwarł ją Jehowa.

Ludzkości głupia, czemu znosisz mękę?  
Do dzieła żwawo przyłóż swoją rękę!  
Pierwotne czucie niechaj cię ocuci,  
A raj pierwotny znów do ciebie wróci.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## ANTON AŠKERC

(1856—1912)

## TRZEJ PODRÓŻNI

Młodzi podróżni trzej idą spolem	A drugi mówi: — Między wszystkimi
Po równej drodze w polu wesołem.	Krajami tyś nam rajem na ziemi.
Już wila Wiosna chodzi po świecie,	Lecz jeszcze droższy od ciebie, raj,
Kwiat różnobarwny błyszczy przy kwiecie.	Ten naród, który mieszka w tym kraju. —
— Co za kraj! — mówi jeden w zachwycie —	A trzeci milczy — lzy z oczu płyną:
Czy drugi taki w świecie ujrzyecie? —	Ból czy też radość tych łez przyczyną?

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## IVAN CANKAR

(1876—1918)

## KASZTAN OSOBLIWEGO GATUNKU

Już za miastem, daleko od kurzu i ludzi, stał kasztan w zielonej samotności. Przychodzono go oglądać, gdyż był w swoim rodzaju cudem. Pączki jego puszczały już wcześniej w marcu, gdy gałęzie innych kasztanów były jeszcze zdrętwiałe, zimne i nagie. W kwietniu puszył się bogato soczystym liściem, w pierwszych dniach maja zaś sypał w rozkosznej szczodrości białe kwiecie wokół. Sypał je, rozsypywał, wysyłał swe jasne motyle z każdym powiewem wiatru na wszystkie strony, a przecież traciły je prędzej inne drzewa, które budziły się później od niego, był bowiem junakiem między nimi.

Jesienią, gdy towarzysze jego byli wycieńczeni, gdy obejmowała ich już drzemka i upuszczali owoc z drżących dłoni, on nie zważał na wiatr północny ani na mróz. Jego liść pozostawał ciemnozielony i puszysty, szumiał na wicherze, ale szum ten nigdy nie był podobny do martwej pieśni. Gałęzie gięły się nisko, czasem prawie aż do ziemi, lecz prostowały się natychmiast raźnie i wesoło.

Gdy mróz ogarnął junaka, że aż kureczył się i zwierzał w sobie, przy innych gnily już na ziemi żółtkłe i rdzawe liście. Śmierć jego nie była bolesna. Junak kładzie się zmęczony na trawie, gdy wszyscy inni już dawno spoczywają, cisi i bladzi, bez tchu, podobni do martwych. On zapada w drzemkę, pełen ufności, że zbudzi się, zanim jeszcze zabłyśnie zorza. Odetchnie głęboko, uśmiechnie się we śnie; gałęzie wstrząsną się, wygną; śnieg cicho się z nich zsunie.

Ten, kto siadywał pod tym kasztanem, był młody. Przychodził pełen trosk i złych myśli, odchodził ze swobodą na obliczu, wesoło pokrzykując. Zakochani kochali tam serdeczniej i wierniej, niż nawet pod Bożem słońcem. Każdy jego liść był znakiem siły, dobroci i wiary, z każdego liścia spływała miłość w jasnych kroplach. Przychodził starzec o kuli; gdy siadł w cieniu kasztana, młodość mu we krwi śpiewała.

Kiedyś przyśniło się kobiecie, jednookiej Marjecie, że po tym cudownym kasztanie łązi złoty chrabąszcz. Pełził od ziemi po pniu na jedną gałąź, na drugą; i naraz zjawilo się tych złotych chrabąszczy tyle, że prawie za mało było dla nich liści: na każdym świecił jeden cekin. I zdarzyło się wówczas, że na jednym z tych liści potknął się złoty chrabąszcz-niezgraba i spadł Marjecie wprost na łono. Gdy go chwytano, uciekał, kulejąc, przez brzuch i piersi tą samą drogą ku szyi, wreszcie popelził przez strome zbocza szczęki obok zagłębienia warg wprost ku nosowi. Tam spojrzął w czarną jamę i nie odważył się iść dalej. Przystanąwszy, troskliwie oglądał swe nóżki, poprawiając je i wyrównywając. Podczas tego zajęcia nieostrożnie zaczepił o wielki czarny włos, który sterczał z nozdrza. Wówczas Marjeta kichnęła i zbudziła się. Złotego chrabąszcza nie zobaczyła już nigdy i nigdzie.

Gdy zbudziła się kobiecina, jednooka Marjeta, zaczęła rozmyślać nad swoim snem. Domyśliła się bez trudu, co on oznacza; przecież to samo uczyniłby każdy z nas.

Zanim jeszcze na zegarze wybiła północ, udała się w drogę, dokąd było trzeba. Rydel i motykę wzięła z sobą. Tym rydlem i motyką kopała pod kasztanem, kopała, Boże zmiłuj się, do wczesnego ranka. Zablęśla zorza — obyż się to już więcej nigdy nie powtórzyło! Marjeta, zdumiona, spojrzała, krzyknęła na cały głos, rydel i motykę gdzieś tam cisnęła, pobiegła bez tchu i pamięci. Darła się gorzej niż sowa; tak biegła i krzyzczała aż do samej prawie wsi.

Oj, strach, ludzie! Strach, bieda!...

Poszli to oglądać wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci. Wśród nich było także trochę takich, o których myślano, że już dawno pomarli; przyszli w srebrnych spodniach i aksamitnych kamizelkach z rzędami guzików; jeden miał włosy związane w warkoczyk; elegancka kokarda zwisała mu na plecy.

Nieopodal i naokół kasztana ziemia była rozkopana i rozorana przynajmniej na pół sążnia w głąb. Wśród potężnych korzeni, które wily się i roily nieskończenie na wszystkie strony, zgromadzone były same ludzkie czaszki; te jamy, w których były niegdyś oczy, wypełniała ziemia i błoto. W niektórych przez noc wykielkowała już trawa. Inne kości były rozrzucone na wszystkie strony, tak że nikt nie mógł ustalić, do jakiej należą czaszki. Ramię splatało się z piszczelem. Tych białych, cichych, przez ziemię i robactwo zniszczonych rzeczy było tam tyle, że niepodobna ich było przeliczyć. Gdyby kopano jeszcze dalej i jeszcze głębiej, rozpostarłby się może taki cmentarz, jakiego jeszcze na świecie nie było.

Stali, poblądźszy; nikt ust nie otworzył.

Ale gdy odeszli i byli już daleko, odezwał się starzec z warkoczykiem i kokardą:  
— Teraz dopiero widać, skąd ta moc, ta miłość i ta młodość!

O, przyjaciele, drodzy moi! Jeszcze zakwitną nam kasztany!

*Tłum. Ela Molè.*

---

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*